Numer 36. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 6 Września 1931




Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Wyjaśnił.**

— Przepraszam pana, co to jest takiego ekonomja?

— Widzisz pan, to jest tak: komu z głodu kiszki grają, to ten drugi odpowiada, ile on chleba powinien zjeść, żeby był syty.

**Szlachetny żebrak.**

Żebrak, zbliżając się do eleganckiego przechodnia, wyciąga doń rękę: — Proszę na nocleg.

— A dlaczego nie szukacie roboty?

— Czyż mam w dzisiejszych ciężkich czasach pozbawiać chleba biedaków?

**Na odchodnem.**

— Kasiu! Ja wrócę dziś późno wieczorem do domu!... Sprzątnij zawczasu lichtarz z przed łóżka pani i schowaj dobrze pachołek i trzepaczkę.

**Bardzo słusznie.**

Nauczyciel: Słuchaj ino Wojtku, czemu cię ojciec tak często bije?

Wojtuś: Bo jest mocniejszy odemnie.

**To dopiero będzie!**

Jeszcześ taki mały, a już eś taki osioł — rzekł ojciec do syna. — Cóż dopiero z ciebie będzie, gdy będziesz tak dorosłym człowiekiem jak ja?

**Rozczarowanie.**

Mąż: W tej bluzce nie będziesz pewnie mogła pójść do teatru, Maryniu?

Żona: Jakiś ty dobry! Oczywiście, że w tej starej bluzce nie mogę się już pokazać.

Mąż: Dlatego też wziąłem tylko jeden bilet.

**Dowcipna.**

Pan: Powiedziałem już raz, że zdrowym żadnej jałmużny nie daję...

Żebraczka: Cóż to pan chce, żebym dla pańskiego grosza zaraz cholery dostała.

**Modnie.**

— Panie mecenasie, opuściła mię moja żona. Poradź mi pan, co ja mam robić, aby więcej nie powróciła?

Numer 36. Rok XIV. Kraków, dnia 6 Września 1931.




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Prenumerata** na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
**Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.391** Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

# SŁOWO.

Mową posługujemy się tak dawno, jest ona nam tak wszczepiona, że poza gronem naukowców mało kto zadaje sobie pytanie, jaki jej początek, jak mało kto dziwi się, skąd ma rękę lub nogę.

Wedle nauki, historja powstania mowy tłumaczy się następująco: rozliczne bodźce zewnętrzne wywoływały u człowieka pierwotnego uczucia.

Uczucia te w jego bujnej i nie znającej żadnych ograniczeń naturze domagały się wyrazu, uzewnętrznienia niejako; okazywało się ono w rozmaitych formach, w krzyku, śmiechu, płaczu i t. d., głównie nam chodzi o ten pierwszy. Ponieważ prostota samoobrony ówczesnego człowieka mało go osłaniała przed niebezpieczeństwami, więc niejednokrotnie, np. krzyk spowodowany ukąszeniem dzikiego zwierza, sprowadzał drugiego człowieka, przy którego pomocy pierwszy unikał nieszczęścia. Dzięki temu, człowiek odkrył pewien pożytek w organie mowy i zaczął go używać częściej.

Ponadto nazwy dla otaczających go przedmiotów nastręczała mu sama natura, a więc, szumem nazwał dźwięk, wydawany przez poruszające się gałęzie drzew, szelestem niepokój w zaroślach, burzą, gromem, piorunem, wyładowania atmosferyczne. Tak powstały wyrazy onomatopeiczne, t. j. takie, których brzmienie naśladuje głosy natury.

Oczywiście ta najpierwsza mowa rozporządzała skromnym zasobem słów, jej zastosowanie zamykało się w elementarnych potrzebach życia, a prymitywizm struktury bytu wyrył na niej piętno jakiegoś nieskończonego dzieła, rzuconego bezładnie szkicu, w którym już jednak spoczywał zarodek przyszłej wartości.

Z biegiem czasu, gdy życie się skomplikowało, gdy umysł ludzki zaczął twórczo upraszczać sobie trudności życia, rozwiązując najpierw problematy związane z codziennością, mowa, jako problem najważniejszy, domagała się reformy: gdy w głosach natury wyczerpało się źródło twórczości, a pozostało mnóstwo jeszcze rzeczy nienazwanych, zaczęto tworzyć wyrazy.

Cały ten skok w rozwoju mowy zasadzał się głównie na zrozumieniu pożyteczności słowa. I tak język stawał się coraz bogatszy: wyposażony mnóstwem akcesorjów, stawał się kliszą odbijającą wiernie każdy obraz zanotowany okiem, sejsmografem odczuwającym najlżejsze wstrząsy duchowego i cielesnego życia. Z poddasza umiejętności czysto pomocniczej dźwignął się na piętro sztuki; zaczęto w nim tworzyć.

I tu leży jedna z przyczyn jego rozwoju; bo surowy materjał terminów nabierał barwy i dźwięku pod impulsem ducha, aby cudowna harmonja, wiążąca językowe wartości w symfonje poezji, nie raziła dysonansem.

Dziś słowo jest zwierciadłem, w którem się przegląda oblicze wieków z każdym uśmiechem ideału, z każdą zmarszczką upadku, jest dewizką naszego człowieczeństwa, operuje aparatem wszystkich sztuk: jest pendzlem, dźwiękiem i dłutem.

Zespala wreszcie idealnym zlepem jednostki narodowości, a obecnie w koncepcji Esperanta ma zbliżyć ku sobie ludzkość, co zaś najważniejsze, jest wyrazem myśli, w której jest tabernakulum duszy.

Należy więc szanować słowo, bo jest w niem dobroć, piękno, jakaś okrągłość doskonałości.

W dzisiejszej literaturze ujawnia się tendencja do ekonomji słowa: „Precz z wodą, oszczędność w słowie, wyrażajmy się lapidarnie, jędrnie!“ — wołają młodzi i pod tym znakiem tworzą.

Dlatego jeszcze raz szacunek dla słowa: sugerujmy się, że każdorazowe złe jego użycie, to świadome przyspieszenie chwili utraty tego daru, a wtedy jeszcze jedno świadectwo dojrzałości, ważne, bo uprawniające nas do wykazania się wyższą kulturą i moralnością.

*Kazimierz Barnaś.*

# Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Wzdrygnął się.

Adme — córka Mitrasa, Mitras — przyjaciel Kantemira... Zgroza!...

Nie podziękowanie niesie, lecz klątwę; nie wdzięczność, lecz zapomnienie zupełne, zupełne opuszczenie.

Dwie krople zimnego potu wystąpiły na czoło rycerza, jakiś żal w duszy uczuł, widział Admę u stóp swoich, wijącą się z boleści i szału, wołającą w głos do niego:

„W czemże jest moja wina?“

— Precz! precz! — Ibraima krew w tobie płynie! Widmo tamtej, niewolnicy, matki — zatrułoby uścisk każdy i odpędziłoby mnie od ciebie.

Teraz zwrócił się całą duszą i sercem ku Halszce i myślą ku Jagodyńcom pobiegł, szepcząc w duchu:

— Jużem twój, jużem na wieki twój, Halszko Jaszczołdówno!

Coś dygotało mu w piersi, żar palił policzki, lodem krew się ścinała.

Po kilkomiesięcznej niewoli, podczas której trzewia głód skręcał, a ciało w jedną niemal zmieniło się ranę, Plichta śmiertelnie osłabiony się czuł, a poznanie dziejów Hildy wybiło go z równowagi umysłowej. Gdy dosiadł jednak konia, zdawało mu się, że dawny wigor ciału jego powrócił, że tchem jednym Perekop i Oczakowskie pole przebędzie i ani się opatrzy, jak ku Jagodyńcom nawróci i w Żółkwi hetmanowi wielkiemu się pokłoni. To też zrazu przynaglał Agaj-beja do jazdy szybkiej, ale po parotygodniowej podróży, ani nóg, ani rąk, ani grzbietu swojego nie poznał. — Niezabliźnione rany bolały straszliwie, po krzyżu mrówki chodzić zaczęły, podczas nocy parnych uczuwał dreszcz, a w głowie omrok jakiś. Agaj-bej na jednym z noclegów kazał mu wypić proch z gorzałką, ale ten medykament nie wiele pomógł. Plichta czuł, że nagabywało go choróbsko jakieś, chciał jeno prędzej w granicach Polski się znaleźć, „ażeby — jak mówił — gdy śmierć go weźmie, kości jego przynajmniej w ojczystej ziemi spoczęły“. Nie poddawał się jednak słabości, choć tak go zmęczył szybki bieg konia, że już dalej orszak musiał iść stępa. Kawał czasu upłynął, nim przebyli Perekop i ku Limanom posuwać się zaczęli. Tu jednak, po kilku dniach podróży, Agaj-bej po rozmówieniu się ze spotkanym oddziałem Tatarów, na prawo skręcił, kierując się ku Tawani nad Dnieprem.

Na stepach ruch był niezwykły, raz wraz snuły się czambuły tatarskie, w mniejsze to większe zbijając się kupy. Od Zaporoża niedobre wieści szły, w Tawani lud się zbierał, po Dnieprze czajki śmigały, na ziemi tatarskiej z traw nagle wychynęła się rosła postać kozacka i grzmotnęła z rusznicy do pasących stado pohańców. Agaj-bej zawiadomiony był o niespodziewanym wcale ruchu kozactwa, a choć na traktacie buszańskim inkaust jeszcze nie zasechł, mało o to dbała brać zaporożska, w każdej chwili z psem niewirnym pohulać rada.

— Effendim — rzekł pewnego wieczora Agaj-bej do Plichty — musimy się już rozstać.

— Jedź na złamanie karku — odparł Plichta — niemiły mi już jest świat!

— Nie ostawię jednak ciebie samego, effendim, choć mi tak dobrze życzysz.

— Nie życzyłbyś i mnie lepiej, gdyby ci febra tak kości łamała.

— Źle z tobą jest, effendim — mruknął Agaj-bej.

— We łbie gorze, we wnętrzu gorze, jakby tam wrzątku kto nalał.

— Napij się prochu.

— Idź do djabła.

— Zatchniesz się.

— Nie będziesz lamentował po mnie.

Plichta majaczyć począł. Imiona Halszki i Admy błąkały mu się po ustach; do pierwszej ręce wyciągał, drugą odganiał precz...

— Effendim — znów zaczął Agaj-bej. — Jesteśmy nad Dnieprem. Zamówiłem łódź, która ciebie do Tawani na brzeg drugi przewiezie — tam już twoi!

— Żal mi ciebie, żal... — szeptał Plichta — ale przeklętą Ibraima masz krew!...

— Effendim — Polska!

To otrzeźwiło Plichtę.

W gardle suchość, w piersi ogień czuł, ale siłą woli, rozpraszającą się wciąż, przytomność umysłu skupiał.

— Co to za rzeka? — spytał.

— Dniepr!

— Prawda!... tam moi — rzekłeś.

Rozwiązał pas, hojny bakczysz dał Tatarowi i pożegnawszy Agaj-beja, o własnych siłach nad brzeg Dnieprowy poszedł, gdzie przewoźnicy już czekali na niego.

Noc była gwiaździsta, Dniepr z szumem o brzeg wysoki uderzał, u którego kołysała się długa łódź kozacka, kierowana przez czterech drabów wąsatych. Pośrodku łodzi stał mąż rosłej postawy, w boki się wziął i patrzał na schodzącego, za którym toczył się Gil-Gulła.

— A cóżto za pokraka za tym Lachem się sunie? — odezwał się mąż, pośrodku łodzi stojący.

Przewoźnicy buchnęli śmiechem.

— Wiedźmy syn — odezwał się idący — ale nie bójcie się, bracia, bo silna pięść go trzyma.

Na dźwięk tego głosu barczysty mąż się poruszył, naprzód się podał, wpatrzył i zawołał:

— Na miłość boską! czy mnie nie myli wzrok?... Kto waćpan jesteś?

— Plichta!

— Duchu święty! — zawołał mąż, z łodzi zbiegając. — A tom dobre przeczucie miał, żem z przewoźnikami po gościa tatarskiego tu przydybał. Plichta?... czy jeno nie łżesz waćpan?... Tak — Plichta!... a słowo stało się ciałem!... Ale jakimże sposobem Miecz Krwawy wypuścił aspana?... Panna Przeczysta czuwała nad tobą. Cud! cud! nie co innego, jeno cud!...

— To ty? Korecki? — zawołał rycerz.

Rzucili się w objęcia.

Tak, był to Korecki kniaź.

Niespodziewane spotkanie, świadomość, że się wśród swoich jest, wzmogła tak dalece pana Konstantego, że choróbsko przykucnęło gdzieś w zakątku, do odezwania się stosowniejszej chwili czekając. Korecki nie wypuszczał z objęć swoich druha ser-

decznego, a żegnał się raz poraz, wszystkich świętych wzywając.

— Plichta — no patrz!... Wyglądasz mi wprawdzie jak węgorz marynowany, aleś żyw! Siadaj, bracie, do łodzi, a gościną do mnie, bo języki wystrzępić się nam muszą. Konie w dogodniejszem miejscu wpław przejdą, bo tu za szeroko Dniepr rozlał. No, patrzcie... Plichta! ze szpon takiego smoka żyw wyszedł! Teraz kula już żadna nie ubije ciebie... w wilczem zielu mać ciebie kąpała.

Siedli w łódź, poruszyły się wiosła, odbili od brzegu. Plichta zaczął:

— Jakież tam wieści?...

— O Halszce? — podchwycił kniaź.

— Hetmana na myśli miałem, ale gdyś o niej wspomniał, mów co wiesz.

— Wiem jeno, iż requiem już odśpiewano nad tobą?

— A Halszka?

— O monasterze zamyśla.

Plichta rzucił się, aż łódź się zakołysała.

— Chroń ją Bóg! — zawołał. — W czas właśnie! Ale skąd o tem wiesz?

— Kurzański pisał, dowiadując się o ciebie.

— Cóżeś mu odpowiedział?

— Posłałem sto tysięcy czerwonych złotych Kantemirowi, ale ten posłów moich obić kazał, pieniądze z naddatkiem mi odesłał, zapraszając, bym przybył do Bakczyseraju, gdy ciebie na pal wsadzać będzie. Poczkaj, psubracie! — pomyślałem — pomknę z mołojcami na Krym i ciebie na ten sam pal wsadzę. Ot i widzisz, Plichta! dlaczegoś mnie w Tawani spotkał.

— I cóżeś dobrego uczynić miał! — zawołał Konstanty.

— Druha ratowaty.

— A traktat buszański?

— A ty?

Plichta uścisnął dłoń kniazia.

— Bóg dał, żem powrócił, kozactwo cicho siedzieć może.

— Już pięć tysięcy czajek ku limanowi spłynęło — mruknął kniaź. — Zawertaj teper.

— Bój się grzechu śmiertelnego! — zawołał Plichta.

— Ot grzech, że starego dziada z Żółkwi z pierzyn wyciągnę — Korecki się zaśmiał.

Byli po środku Dniepru — liche domostwa Tawani zarysowały się na widnokręgu; na brzegu, jeszcze dalekim, duże paliło się ognisko, około którego migały czarne postaci, od których szedł gwar stłumiony i palba rusznic.

— Hula brać kozacka, a z piszczeli rżnie — odezwał się kniaź.

Wtem łódź się zakołysała.

— Wir!... — dodał Korecki.

Przewoźnicy dobyli sił wszystkich przeciw prądowi, ale fale spienione kotłowały się, rzucając czajką, jak łupiną orzecha.

— Tańcuje nasz Dnipr-bat'ko aż zwizdy w prysiudy jdut!... — znów zaczął kniaź. — Ej, Plichta! — zawołał po chwili — gdybyś od łap Kantemirowych był umknął, na czajki siedlibyśmy i my — i pod Stambuł... Aleś zmizerowany okrutnie, skóra i kości tylko, a dychawica cię dławi. Spoczynku waćpanu potrzeba i Kachny mojej opieki.

— Ja do Jagodyniec muszę...

— Baj baju!... a wżdy teraz dziewka przelękłaby się ciebie.

Febra zaczęła znów Plichtą potrząsać, aż zęby dzwoniły.

— Nie do podwiki ci teraz, jeno pod niedźwiednię — mruknął kniaź. — Do Jagodyniec list wyszlesz, by mniszki czasami włosów dziewce nie podstrzygły, a ze mną do Korca — ot jak! Wzmożesz się, a już sam cię do Halszki wyprawię. — Ot i w Tawani jesteśmy. — Zwolna!... Prr... tak!

Na brzeg skoczył i rękę do Plichty wyciągnął.

Plichta podniósł się i opadł, podniósł się raz drugi i zachwiał tak mocno, że o mało do rzeki nie wleciał.

— Dużo sił z ciebie ten smok tatarski wydusił — odezwał się kniaź. — Chłopy! na rękach zanieść pana!

Mieszkanie, w którem pan Samuel zatrzymał się, nie o wiele od chat kurnych się różniło; jeno podłogę kazał kniaź futrem niedźwiedziem wysłać, ściany makatami obić, łosią skórę na łoże rzucić i izbę całą nieco zielskiem tatarskiem przetrząsnąć. Człek wzrostu niewielkiego musiał we drzwiach się schylać, a czupryną o pułap gładzić. Plichta tego nie spostrzegł, i wyrżnął się w łeb strasznie, ale to go oprzytomniło właśnie, a znów zaczął choróbsku swemu się poddawać, na stole migotał kaganek, przy którego świetle Plichta dostrzegł inkaust i pióro.

— Czernidło jest — daj mi papieru kawałek.

— Co chcesz robić? — Korecki zapytał.

— Do Jagodyniec list wysłać, do Jagodyniec albo do Żółkwi, bo nie wiem, gdzie jest dziewka moja najmilejsza... Klasztor nie dla niej — ja żyję i miłuję ją... Panie Boże Wszechmogący, jak mi się łeb kręci!... Gił-Gułła!... — do karła się zwrócił. — Masz pismo!... Do Jagodyniec albo do Żółkwi — jaśnie wielmożnej pannie Halszce Jaszczołdównej... rozumiesz? Nikomu — tylko jej do rąk... nikomu, tylko — jej... Waruj, psie!...

Korecki nie sprzeciwiał się wysłaniu listu przez Tatara; wiedział, że Plichta nim się posługiwał, nie wiedział jeno przez kogo i dlaczego Plichcie był on dany. Gił-Gułła list schował w zanadrze i jakby obawiając się, by zatrzymany nie był, nocą jeszcze z Tawani wyruszył, otrzymawszy przedtem od kniazia Koreckiego kartę bezpieczeństwa podczas swojej podróży przez ziemię zaporożską.

Teraz kniaź, zostawszy sam na sam z Plichtą, chciał się o dziejach jego niewoli dowiedzieć, ale rycerz bredzić począł, a tak okrutne gorąco zaczęło od niego buchać, że się Korecki przeraził. Napój z saletry, obfite puszczenie krwi, nawet szeptanie baby, nie zdały się na nic. Niemoc ciężka zwaliła rycerza, a przytomność odbiegła go całkiem. Znachory i znachorki tracili głowę, pop w przygodnej cerkwi modły odprawił, ale choróbsko powiedziało: nie puszczę go i już! Nie było więc co robić w Tawani, pośród wrzasku kozactwa, zapachu dziegciu i siwuchy, gdzie ani spokoju, ani wygód potrzebnych choremu nie było. Kniaź Korecki do drogi gotować się kazał. Położono tedy Plichtę na wozie, miękką a wonną trawą wysłanym i poranku pewnego wyruszył orszak z nadwornej milicji kniazia złożony i posunął przez stepy, przez bracławskie i podolskie województwa, do dalekiej ziemi wołyńskiej. Kniaź na krok jeden nie odstępował przyjaciela; zatrzymywał się przy każdej wodzie studziennej, zimne okłady na czoło kładł, to wódką z pieprzem poił, albo rozmoczone suchary czarnego chleba na gwałt do gęby pakował. Po zimnych okładach Plichta przytomniał, po wódce z pieprzem od rzeczy gadał, po sucharach na tamten wy-

bierał się świat. I tak naprzemian. Raz go Korecki zielonym arbuzem nakarmił i o mało djabli pana rotmistrza nie wzięli — ale rogata dusza nie dała się. Innym razem kazał go wytrząść, do której to roboty dwóch hajduków się wzięło — lecz uparte choróbsko i onej operacji nie ulękło się; Plichta jęczał tylko jak nieboże stworzenie, a kniaź, od łez stłumionym głosem mówił:

— To nie Kantemir, Plichcik — to ja!

Zieloną runią pokrywały się pola orne, gdy z Tawani ruszyli; brzęknęły sierpy i kosy, gdy do Korca przybyli. Katarzyna z Mohylów Korecka na dworzyszcze wyszła, zdziwiona iście żałobnym pochodem mężowskiego orszaku, ale kniaź wytłumaczył małżonce swojej, jakiego gościa jej wiezie i rzekł, oddając Plichtę pod jej opiekę:

— Pilnuj go, babo! bo jak zemrze, do rozwodu się podam!

Ale silna natura Plichty opierała się śmierci. — Już, już zdawało się, że kostucha zwycięży, ale Plichta powiedział: Nie dam się! i zawstydzona śmierć precz uchodzić musiała, ale znać było, że nie odbiegła daleko, u płotu się wiła, o ściany ocierała, podważała drzwi sypialni, a szczególnie przed samą północką niepokoiła mieszkańców koreckiego dworzyszcza. Podczas pewnej chmurnej a wietrznej nocy kazała puszczykowi hukać w baszcie narożnej zamczyska. Przerazili się ludzie, sam nawet kniaź noc całą nie spał, ale Plichta i teraz śmierci się nie dał, jeno jęczał boleśniej niż zwykle i od rzeczy gadał.

— Bokiem mu wyłazi niewola Kantemirowa — szeptał kniaź, a Katarzyna z Mohylów Korecka po babę znachorkę posłała.

Gdzie był i co z nim robiono, kto czuwał nad nim i czy czuwał — Plichta nie wiedział nic. Gdy oczy po raz pierwszy otworzył i zagadał przytomnie, na dworze leżał śnieg, a dziewki dworskie pieśń kolendową śpiewały.

„Światyj weczer“ brzmiało ciche, stłumione w odległych komnatach dworzyszcza — a Plichta zerwał się z łoża i runął w otwarte ramiona pana Samuela. Ryknęli obaj, ale odtąd śmierć uciekła za lasy i góry, a puszczyki — jak mówiono — wyniosły się precz z baszty narożnej zamczyska. Plichta zaczął pamięcią pracować — i aż się przeraził.. Krym! Tawań! zieleń wiosny i ten biały śnieg... i śpiew ten!...

— Panie Jezu Wszechmogący! — zawołał.. — A toż to zima szczera, a toż to kolendowa pieśń wasza!...

— Doczekałeśsia, diat'ku Rożdestwa — zaśmiał się kniaź.

— Chryste Panie! a tom się godnie wyleżał — dziwił się pan rotmistrz.

— Jakże się czujesz waszmość? — spytała pani Katarzyna.

— Nibym narodzon na nowo.

— A chcesz jeść? — kniaź dodał.

— Spróbowałbym kuci z makiem.

„Światyj weczér“ brzmiało ciche, stłumione w oddalonych komnatach Koreckich zamku — ale oto Plichty głos się dołączył, zawtórzył kniaź, kniaziowa pomogła... i rozśpiewało się dworzyszcze całe, jakby w jedno, śpiewne narzędzie przemieniło się.

Nigdy panu rotmistrzowi nie smakowała tak uczta wigilijna. Jadł jednak z umiarem, choć kniaź mu wciąż nowe półmiski podsuwał, ale kniaziowa na straży stała i hamowała gościnność mężowską.

— Ta ostaw, Katro!...

— Tylko co wstał po wygłodzeniu takiem — a ty do jadła zaraz...

— Nic mu nie będzie!...

— A wżdy!...

— Choć szczuki daj mu zjeść kawałek.

— Jak zemrze, to nie ty zemrzesz — i co? — mówiła kniaziowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## O skamieniałych rycerzach.

Po wielkiej bitwie w obronie kraju, wszyscy obrońcy polegli, sam dowódca pozostał tylko. Dłońmi zakrył twarz, aby ujść ogromnego widoku krwawego pola. Boleść mu serce ściskała, lecz nie płakał, męczarnie duszy zbyt za wielkie były, by im ulżyć łzami, pierś jego pusta, nawet jęku nie umiała wydać. Wtem jakiś staruszek siwy, jak gołąbek, przechodził drogą i ujrzał cierpienie rycerza.

— Ja wasz ból ukoję — rzekł miękim głosem. Jeśli mi tylko zaczekać chcecie.

I litościwem okiem powiódł po nieszczęśliwem polu trupów.

— Próżne wasze słowa — odparł wkońcu rycerz zapytany — mnie tylko śmierć może być pocieszycielką po stracie ziemi ukochanej, po poległych towarzyszach boju! Ja śmierci tylko żądam!

— W mej więc mocy będzie ukoić troski wasze — mówił staruszek. Ciebie i twoich towarzyszów powiodę w niedaleką górę. Tam wieki przetrwonią w cichem kamiennem śnie. A gdy przeznaczenia wybije godzina, gdy będzie potrzeba bitnych rycerzy, wtedy zaklęć słowa w serca tysięcy przeleją życie twoje i żyć będziecie długie chwile poświęcenia.

Dowódca skinął głową, że pozwala i niby światełko radości zabłysnęło mu w oczach.

Siwy staruszek dotrzymał przyrzeczenia, rycerze skamienieli w samem środku góry.

Wiele upłynęło lat, wieki przeszły ponad gór szczytami, rycerze spali snem nieprzerwanym. Dopiero przed kilkudziesięciu laty jednej wieśniaczce przyśnił się staruszek. Rozkazał jej wziąść kredy i wody święconej. Nauczył ją parę słów zaklęcia i liczbę drzew, i wzgórza wymienił, poza któremi rycerzy odszukać miała.

Kobieta owa wzięła co jej staruszek poradził i liczyć poczęła drzewa i wzgórza, lecz stara pamięć zawiodła, gdyż zgubiła liczbę, szła jednak ufna, że może przypadek zgubioną wskaże jej drogę. Przyszła przed górę najbardziej stromą, skropiła ją wodą święconą, kredą biało obwiodła i słowa nauczone zaczęła powtarzać.

Czekała długo, długo, lecz skała stała zimna, głucha na zaklęcia.

Widać, że pewnie winnej górze złożeni byli rycerze. A może jeszcze godzina przeznaczenia nie wybiła? Któż wie? *Stanisław Jucha.*

# PIEŚŃ MIŁOŚCI.



Najlepszem lekarstwem na wszelkie cierpienia duszy, smutku i żałości są: poezja, śpiew i muzyka. Potrafią one rozwiać i rozpruszyć po świecie wszystko to, co gnębi duszę ludzką, co ją boleścią napawa, co rodzi w niej zwątpienie, a natomiast wlewają w nią jakby jakieś odżywcze soki, które wypogadzają lica i wywołują uśmiech na twarzy. Śpiew, muzyka i poezja działają na umysł człowieka jakby jaki balsam kojący, który każe zapominać o wszystkich boleściach, nurtujących serca ludzkie, łagodzi je, a czę-

sto i zupełnie usuwa. Sen, który nie chce skleić powiek człowieka, przy dźwiękach smętnej pieśni sam skądsiś przychodzi, upaja, kołysze i każe zapomnieć o tem, co człowiek zapomnieć pragnie.

Oto dwoje zakochanych grajków wędrownych. Nie znają chaty, nie znają przytulnego łoża. Dachem ich, to niebo rozłogie, mieszkanie — świat wielki i szeroki. Idą od wioski do wioski, niosąc ludziom pieśń wędrowną. Ale i oni nie są ze stali. Pierwszą opuściły siły wędrowną dziewicę. Usiadła w czasie swej podróży pod kamieniem przydrożnym: pragnie odpocząć i w śnie szukać sił do dalszej wędrówki. Lecz sen nie chce przyjść na zawołanie. Umiłowany jej, bierze swe skrzypki w ręce i muzyką ich usypia swą kochankę, aby ta nabrała nowej mocy do dalszych trudów, do dalszych borykań się z życiem. Pieśń miłości doda jej sił, wstanie pokrzepiona i przy boku najmilszego będzie pieśnią osładzać życie innych ludzi.




Powiadają starzy ludzie, że nieszczęście nie chodzi po górach, ino po ludziach. Bo to tez i najporządniejsego cłeka może ono się cypić tak, że ani sam nie wie, kiedy go wezmą do wojska. Co prawda, to wojsko nie byle chetka pętelka, ino wojsko, ale nie kuzdemu się chce w niem słuzyć, jak nie musi, ale są i tacy, co się jem nie chce uściwie na chlebuś pracować, to idą do wojska na całe życie.

A w wojsku różnie bywa. Słuzyłem i ja w swoich dziecinnych latach bez całe trzy roków, to wiem jak i co jest. Wprawdzie drzewiej to zołnirz był ino zołmirzem, a nie tak, jak dzisiaj dygnitarzem, ale robota zawse jedna i ta sama. Inacej się to wszyćko nazywało, ale się jednako robiło. Za casów austrjackich zołmirz wybijał na hofie eincyki, dziś wybija też tak samo na kosarowem pdowórzu razicki. Dawniej umizgał się do Kaśki cy Baśki od befelu do wiecora, dziś umizga sie do Kaścyny Kaśki i Baścyny Baśki od rozkazu do wiecora także.

I siarzie takze niewiele się zmieniły. Dawniej był flajter, kapral, cugsfirer i felebel, dziś jest strasny strzelec, kapral, plutonowy i sierzant. Ino ich znacenie trochę się zmieniło. Słysałem, jak wkiejsik pan kapral poucał zołmirzy o siarziach:

— Piersą siarzią — powiada — to jest starsy strzelec i ma jedną nasywkę na ramieniu. To tak, jakby w cywilu adwokat, doktór abo nizijer, człowiek w kuździm razie niezwycajny. Potem jest kapral, to tak, jakby w cywilu starosta, albo inksy wielgi pan. Następnie jest plutonowy, ten, co nosi trzy nasywki. W cywilu mozna go przyrównać do wojewody, albo hrabiego. Później to jest pan sierziant. Jest to, hm, jakby to powiedzieć, jest to taki pan, jak... Nie, w cywilu już jemu równego nima!...

I widzi mi się, że ów kapral miał zupełną rację, bo przecie wiadomo, że i marsiałek Piłsudski jest wojakiem, a przecie w cywilu nima sobie równego.

Za mojego wojskowania dbali niezgorzej o zołmirzy, zwłasca jak komendantem był Polak, abo Miemiec. Bo jak był Cech, to pozal sie Boże. Myśmy mieli kapitana Rusina. Raz śli z menażkami zołmirze przez podworzec kasarniany. Spotkał ich kapitan Rusin i pada:

— A dobre majete jedzenie?

— A dobre, melduje posłuśnie panie kapitanie — powiada wystraszony zołmirz.

— Dajcie mi łyżkę, chciałbym pokosztować.

Zołmirz znowu posłuśnie, bo przy wojsku trzeba wszystko robić posłuśnie, podaje łyżkę kapitanowi, który pokostował zawartości menazki, a cmokając, powiada:

— No nie złe to jest, tylko zawiele miesaniny, jak na zupę...

— Melduje posłuśnie, panie kapitanie, ze to są zlewki la świń pana felebla prowiantowego, a nie zupa...

Za mojej wojacki zdarzyło się tak, że zupak cugsfirer chciał się ożenić. Idzie do kapitana i powiada mu o swojem zamierzeniu. Kapitan jako dobry chłop, pyta się go:

— No, a z kiemze sie zenis?

— Z pracką Pelasią od natareusa.

— A dobra to dziewcyna? — zapytuje kapitan dbały o dobro swoich zołmirzy.

— Bardzo dobra, melduje posłuśnie, panie kapitanie! Cały pułk sobie ją chwali, a pan lajtnant w kuździusieńką noc prawie jij od siebie nie wypusca.

Raz przyjechał do regimentu stary generał austrjacki i pocął badać zołmirzy, aby się przekonać o ich jenteligencji. Pyta tedy jednego:

— Jak ja się nazywam?

Kazby ta prosty zołmirz wiedział, jak się taki generał nazywał i do tego jesce austrjacki. Rozdziawił gębę i patrzy się, ale nie gada nic.

— No musicie przecie wiedzieć, czem jestem i jak mnie nazywają?

Ale zołmirz jesce syrzej gębę rozdziawił i nic nie odpowiadał.

Wówcas generał zwraca się do reśty zołmirzy i pyta się:

— Moze który z was słysał, jak mnie we wojsku nazywają.

— Ja? — odzywa się jeden.

— No, powiedz!

— Starą mantyką, pierunem i cholerą!



**Świat róż.**

Jestem młoda i bogata
Kocham pola, drzewa, chatę,
Jako wiosny kwiat,
Kocham cały świat.

Lata moje, świeże, młode,
Płyną ciszą fal,
Cenię młodość i urodę,
Cenię mroczną dal.

Kocham chłopca rycerskiego,
On miłuje mnie,
Wezmę kiedyś go za swego,
A on weźmie mnie.

Uwijemy gniazdko swoje
Jako ptaszki drzew,
I nie wstąpi w te podwoje
Kłótnia, swary, gniew.

Pan Bóg będzie nam pancerzem,
Mieczem Anioł Stróż;
Tylko pracą i pacierzem
W świat idziemy róż.

*L. Kuboszek.*

# PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

**Raguza I.**

Po północnej stronie morza Śródziemnego rozciąga się uroczy kraj, należący przed wojną do Austrji, a obecnie do Jugosławji, Dalmacja, zamieszkały

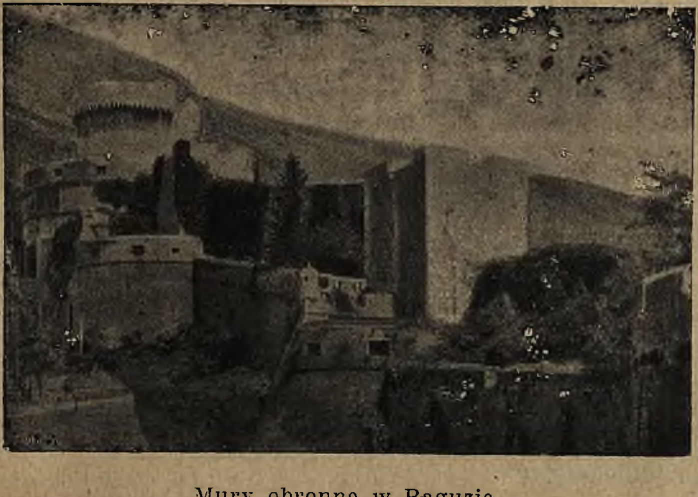


Widok ogólny Raguzy.

w przeważnej części przez ludność słowiańską. Przejażdżka okrętem wzdłuż Dalmacji należy do najprzyjemniejszych i pozostawiających niezatarte wspomnienia.

Między dwoma błękitami: nieba i morskiej roztoczy, widnieją ostrowy, półwyspy i przylądki. Na szaro-perłowych złomach rosną gaiki szaro-srebrnych drzew oliwnych, dąbrowy, kępki pinii. Z ogrodowych gęstwin, z pośród strzelistych cyprysów, wysmukłych eukaliptusów, pękatych drzew figowych, wyzierają terasy i loggie białych pałacyków; na widnokręgu rysują się kościoły o coraz to wytworniejszych kształtach. W każdym porcie, a właściwie przystani, gdzie uwijają się setki łódek, widać całe stosy pomarańcz i cytryn, przeznaczonych na wywóz; obok stragany, pełne ryb, któremi kupczą hałaśliwi, czarnowłosi handlarze. Na worach, koszach, skrzyniach, porzucanych bezładnie, siedzą lub leżą Dalmatyńcy w czerwonych czapeczkach z fajeczką w ustach i rozprawiają gwarnie i swarliwie, albo też nucą półgłosem rozmaite pieśni.

Dziewczęta idą do studni z dzbankami na kształt



Mury obronne w Raguzie

starożytnych mieszalników, a gdy zaokrągliwszy ramiona nad głową, wracają ostrożnie z pełnem naczyniem, same stają się do najpiękniejszych amfor podobne; kiedy zaś przystaną u źródła w białej chusteczce, ułożonej w klasyczne fałdy, przypominają posągi, które niegdyś zdobiły tam święte gaje i krynice.

Podobnie wygląda najpiękniejsze miasto Dalmacji, Raguza, liczące zaledwie kilka tysięcy mieszkańców. Jak widzimy to na naszym pierwszym obrazku, Raguza, zwana także Dubrownik, rozciąga się półkolem nad zatoką morza Śródziemnego. Skaliste zwały i złomy dalmatyńskich gór piętrzą się, jak dawniej, nad miastem. Przestały bronić je przed najazdem wiecznie głodnych sąsiadów, ale nie dozwalają mu rozprzestrzeniać się w tę stronę, a morze, z którego była rzeczpospolita ciągnęła wszystkie soki żywotne, odsunęło się od niego, zawaliło port mułem tak, że tam, gdzie dawniej statki kupieckie docierały, dziś zaledwie czółna przemykać się mogą. Dla ścisłości dodać trzeba, że Raguza była do roku 1806 stolicą wolnej rzeczypospolitej.

Raguzę, jak to widzimy na naszym drugim obrazku, otacza zewsząd mur obronny z czerwonej cegły, niby krwawnikowy pas czarnogórski, a w pośrodku widnieje wysoka brama z żółtawego piaskowca, jak mosiężna klamra. Jest to Porta Pille. Po zwodzonym niegdyś moście wjeżdża się w okrągły bastjon na



Przedmieście Pille.

kształt Rondla Bramy Florjańskiej w Krakowie, gdzie droga skręca się w zygzak, a raczej w śrubę, bo różnica poziomu między nisko położonemi ulicami a wysoko wymurowanym gościńcem jest znaczna.

Mija się franciszkański klasztor, ozdobną studnię, z której tryska przez lwie paszcze woda, i staje się na „Stradone", wśród dwóch rzędów pałaców. — Tam co wieczora odbywa się Corso. Smętne wrażenie, którem są nacechowane gmachy i ludzie, znika na chwilę, ustępując miejsca swobodnej i zalotnej wesołości, nieodłącznej od tej przechadzki, właściwym wszystkim tamtejszym miastom.

Wśród jasno oświetlonej ulicy chodzą godzinami wszyscy, którzy tylko nogami suwać mogą. Młodzi i starzy, miejscowe piękności w czarnych mantylach i z kwiatami we włosach, czarnogórskie mołodycie w haftowanych stanikach i krótkich spódnicach, chwackie zuchy o wyzywającem spojrzeniu, groźne Serby z całym arsenałem siecznej i palnej broni za

pasem, przeznaczonej jednak nie do morderczego użytku, ale na sprzedaż, krzyżują się, spotykają, mijają, witają, uśmiechają się do siebie nawzajem, czasem śledzą zazdrośnie lub mierzą oczyma nienawistnie. Śmiechy, szepty, rozhowory, nawoływania i niekiedy sprzeczki wytwarzają wpół uliczną, wpół salonową atmosferę. Cudzoziemiec nie czuje się osamotnionym w tym tłumie, bo trzeba wiedzieć, że i od nas z Polski na letni odpoczynek tam wyjeżdżają. — Czar południowego usposobienia, poufałego bez natręctwa, działa na niego bezpośrednio i jedna sobie go odrazu. Z tłoku wyłączają się zakochane pary, chronią się w cień krużganków, które biegną wzdłuż domów; powoli rozprasza się i reszta przechodniów, niknie w ciasnych zaułkach albo wraca po stromych schodach w górne dzielnice miasta.... i „Stradone“ znowu popada w ciszę, pustkę i zadumę.

Księżyc, wzbiwszy się nad turnie Monte Sergio, oświeca płaskie dachy, głębokie framugi, uszkodzone gzymsy, poutrącane herby, zardzewiałe okucia, ganki, porosłe mchem starości, przegląda się w szybach okien, nieprzeświecających światłem, ale szklących się mglisto, jak oślepłe źrenice. Ledwie gdzieniegdzie latarka, migocąca na poddaszu, dźwięk mandoliny dochodzący z pięterka, lub cicha rozmowa w jednej z altan, wznoszących się na kształt kwietnej zastawy na stole przestronnych tarasach, świadczy o tem, że tu życie nie zanikło do szczętu, że to nie cmentarz, ani miasto umarłych.

Ta chmara ludzka, która zapełniała o zmierzchu ulicę, poruszała się w przeciwległych kierunkach, te



„Stradone“.

setki ludzkich głosów są na „Stradone“ czemś obcem, napływowem. Ta cała masa znika aż do drugiego zmierzchu i nigdzie w pobliżu odszukać jej nie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Magdusine kochanie.

nowelka, napisana przez Marję Waller.

III.

Serce Magdusi rozpierała wdzięczność i radość bez granic. Jasiek ukochany będzie jej mężem! Hop! hop! — pokrzykiwała beztrosko, biegnąc w las.

— Hop, hop! — odpowiedział jej wesoły głos męski.

— Magduś, jagódko, nijak mi żyć bez ciebie!

— Magduś, słoneczko!

— Magduś, skowronku! Magduś, gwiazdeczko! Magduś, Magduś!

— Magduś nijak nie wytrzymom! W świat póde za oczy!

— Nie pódziesz Jasinku, tatulu kazali po żniwach...

— Magduś!!! nie śmiejesz się?! Magduś!!

— Nie Jasinku, nie!

— O Jezu! takim szczęśliwy!!!

— Nie płacz Jasieńku! — głaskała go małą rączką, a łzy ulewą zrosiły jej twarz.

— Ze szczęścia płaczę Magduś! Kochanie moje! Ty, ty, ty!

I las, i słoneczko, i ptaszki, i kwiaty — wszystko takie piękne, kochane...

— Hop, hop!

— Hej, hej!

Z całej piersi na bór, na pola, na łąki, hop, hop!

IV.

— Magduś idzino córeczko! opatrz na strych. — Kajsi czubato jaje podziwo! Pewnikiem w sianie! A zdałoby się Jaśka ugościć! — szepnęła macocha.

Magdusia znikła z izby. Milczenie. Tik-tak, tik-tak. Teraz... Już...

— Jasiek?

— A co?

Milczenie. Dwa mózgi pracują gorączkowo. Dwie potęgi stają do walki. Przegląd.

— Jasiek?!

— Dyć słyszę! Mówcie!

— Pamiętosz?

— Jeszczeby nie? — zaśmiał się młody — ktoby ta dobrego nie pamiętał? — wspomniała se babka — przebiegło mu błyskawicznie przez myśl.

— Trzeba ji przybasować, to ta zawdy się przydo na cosik!

Niewiele mu tam pozostało w pamięci z owych pocałunków żarnych, z owych przysiąg ukradkiem szeptanych. Lubił ją ta trochę, bo „gładko była a przylipno“. Ale gdzie ji ta do Magdusi!

— Widać, żeś nie pamiętliwy, kiejś tak hyżo wiatr zmienił!

— A cóżem mioł robić, nieszczęsny? — bąknął parobczak.

— Jo cie ta uczyła nie bede!

— Zwarjowała baba, czy co?

— Choćbym i łbem tłuk, nie poradze — zaryzykował żałośnie.

— A ino tłukbyś ta — wątpiła.

— Sumiennie! — bił się w piersi młody, byle coś rzec.

— „Czeszy didka z ridka“ — przypomniało mu się ruskie przysłowie.

Mawiał tak często nieboszczyk tatuś który długie lata sługiwał na wschodzie. Tymczasem pierś kobiety przeniknęła błoga radość.

— Mój, mój! — targnęło nią radosne uczucie dumy.

— Jasiek, a.... a miłujesz ty Magdusie? — szepnęła, podchodząc ku niemu z płonącą twarzą i czekając odpowiedzi z zapartym tchem. Jasiek nie zaraz odpowiedział.

— A nuż się wściekła! lepiej ostrożnie! — pomyślał.

— Lubieć, to ją ta lubię! Przeciebym się nie żenił!

— A żem ta kogo lepi lubioł, to co ji ta do tego! — dodał prędko, widząc gniewny, płowy błysk w oczach kobiety.

— A lubiołeś, Jasiek?! Lubiołeś? — szeptała już uspokojona.

— Pewnikiem, żem lubioł! A może i teroz lubie — zaryzykował na poły chytrze, na poły pochlebnie. — Kobiecie świat tańcował przed oczyma.

— Jasiek, pocałuj mie! — wyszedł z jej ust szept zdławiony, a krągłe jędrne piersi przytuliły się do ramienia chłopaka.

— Tyle to ta moge — przemknęło przez myśl Jaśkowi i przygarnął kobietę. Nie tak łatwo było jednak wydrzeć się z ramion, które niby komary szczupłe, a krzepkie, zacisnęły się koło jego szyi. Usta upalne niby skwar letniego południa, wilgotne a pachnące, pulsujące krwią młodą, pełne pożądania i namiętnej pieszczoty, wtuliły się w wargi młodego chłopaka...

Tupot bosych nóg po sieni i dwie splecione postacie odskoczyły od siebie, dysząc ciężko.

— Znalazłam! — wołała Magdusia z progu i... umilkła. Z izby wiało chłodem jakimś niewytłumaczonym... Zupełnie, jakby ktoś zimną wodę lał na serce!

— Co to? co to? — pracowała gorączkowo myśl, podczas gdy ręce wybierały do przetaka przyniesione w fartuchu jaja.

Oczy jednak podejrzliwe i bystre, śledziły roztrzęsione palce macochy, wbijające niezgrabnie jaja... Widziały i Jaśka, który czesząc palcami długie włosy w tył odrzucone, sięgał raz po raz po kapelusz, aby go nazad odłożyć na ławę.

— Co się tu stało? — wirowało nieustannie w myśli Magdusi.

Z mrocznej nieświadomości szedł ku niej cień jakiś, powlókł myśli a w sercu zostawił maleńki mikroskopijny cierń bólu i niewiary.

Im bliżej wesela, tem cierń ten stawał się więcej złowrogi i ponury.

Raz wraz jakieś niejasne przeczucie czegoś niewytłumaczonego, czegoś co działo się tuż, tuż... dość rękę wyciągnąć!

Coraz częściej przychodził Jasiek, ale smutny jakiś i nieśmiały.

Gdzie się podziała dawna, niefrasobliwa wesołość?

Już nikt nie wołał beztrosko: hop, hop! nikt nie zadzwonił śmiechem radosnym. Na duszach legł kamień bólu i troski, męki i goryczy. Jedna macocha ożywiona była i wesoła. Dla Magdusi zaś dobra, jak nigdy.

— Magdusiu! biegnijno do Rzepczyny! Posyłała, żebyś przyszła do miary! A weź ta i to ze sobą, niech ci to przerobi! bedziesz miała piekne ubranie — mówiła, wyciągając ze skrzyni piękną wełnianą spódnicę, której zazdrościła jej cała wieś.

— Korale po matusi, tyż dla ciebie! Nie skrzywdze cie, nie bój sie! Jo mom swoje, to mi ta starczą!

Magdusia dziękowała z całego serca, uradowana i zawstydzona... Wyszła, dzień był piękny, pełen blasków płynnych niemal. Od nagich pól szedł zapach świeżo zoranej ziemi, gdzieniegdzie odezwał się z drzewa zżółkły liść i spadał z lekkim szelestem, — niby łza.

— Drzewa płaczą — przemknęło dziewczynie przez myśl i niewiadomo, dlaczego zrobiło się jej bardzo smutno.

— Magduś czekajno kapke.

Obejrzała się. Jasiek biegł ku niej, sadząc wielkiemi susami.

Przywitali się radośni, szczęśliwi...

— Gdzie idziesz?

— Do Rzepczyny! Patrz, jaką piękną spodnicę dała mi macocha! — chwaliła się, rozradowana jego widokiem.

Jasiek spochmurniał.

— Pocoś brała? — prysknął niechętnie. — Kupię ci ładniejszą!

Magdusia spojrzała na niego podejrzliwie.

— Czego nie miałam brać? Głupiś, czy co?

— Magduś, cośbym ci rzek, ino... urwał, nie wiedząc, co rzec.

— To mów!

— Ale bo wisz! Twoja macocha, to ci tylko od oka schlibio!

— A może i ty tak samo — przeleciała zła myśl dziewczynie. Nic jednak nie rzekła. Szli chwilę w milczeniu, wsłuchani we własne myśli.

— Magduś, gniwosz sie?

— A czego?

— Bo cosi nie godosz!

— Lepi nie pleć po próżnicy, tylko idź do dom... Tata wódkę rychtujom, to im pomożesz!

— Odganiasz mnie Magduś? A jabym tak poszed z tobą! — prosił nieśmiało.

— Jeszcze dość sie koło mnie nasiedzisz! — wypadło jej z ust mimowoli. Jasiek przystanął urażony.

— Chcesz, żebym szed, to pójdę — rzucił podrażniony.

— Żebyś tylko nie żałowała! — dorzucił w myśli.

Odszedł, pogwizdując.

Magdusi zakręciły się łzy w oczach. Nie chciała, żeby odszedł, nie! Chciała, żeby został na przekór jej słowom, które samochcąc wybiegły na usta...

V.

— A więc za trzy dni! Już za trzy dni, a tu tylachna roboty — myślała Magdusia, wracając do domu. Niosła od Rzepczyny stos naszytej bielizny i przyodziewy.

— Pewnikiem czeko na mnie! Ale czego nie wyszed? Może sie gniwo za popołudniejsze? A niech sie gniwo! Przepraszała go nie będę!

I zamiast wracać zwykłą drogą, wybrała okrężną, dłuższą znacznie, prowadzącą przez las.

Słońce chowało się już za drzewa, przeświecając czerwonawem złotem rozżarzonej miedzi, przez korony smukłych jodeł i świerków. Jasne plamy drgały gdzieniegdzie, a w nich pąsowiały dojrzałe grona jarzębin lub czerniały kiście soczystych ożyn. Wokół pachło grzybami, których ogromne mnóstwo pstrzyło mchy, lub chowało się pod opadłe liście, które miejscami zaścielały ziemię grubą warstwą.

— Trzeba rano wybiec z koszem — pomyślała, rozglądając się wkoło.

Nagle do uszu jej doszedł jakiś stłumiony szept.

Stanęła, nadsłuchując. Szept powtórzył się, a towarzyszył mu jakiś szelest. Zaczęła się skradać cichuteńko... bezszelestnie rozchyliła gałęzie i spojrzała... Wszystka krew uciekła jej z twarzy.

Lodowe zimno objęło kolana... Ściśnięta krtań wydała coś, niby harkot głuchy, niby jęk... Ostatnim wysiłkiem woli porwała się z miejsca jak oszalała

i zaczęła biec bez celu, bez drogi, na przełaj! Byle dalej, byle prędzej!

Niesione szmaty furkotały niby skrzydła, czepiały się krzaków, pozostawały na nich, a dziewczyna nie dbała na nic, pędziła dalej na oślep...

Zapiekłe oczy nie widziały drogi... niosła w nich obraz dwóch ciał, splecionych szaleńczym uściskiem bezgranicznego zapamiętania, wijących się w skurczu rozkoszy dzikiej, niemal bolesnej...

A Magdusia biegła i biegła.

Coraz częściej zawadzała o wystające korzenie. — Ostre ciernie zeszłorocznych jeżyn kaleczyły boleśnie stopy, ale dziewczę głuche na ból, pędziło gnane męką bez granic, aż do utraty tchu.

Ściemniło się już, gdy wyczerpana, na pół przytomna, padła na mchy chłodne i wilgotne od rosy. Chwilę oddychała głośno. Odrętwiałe myśli przysiadły mchy zmęczone lotem jaskółki i utrudzona była bez miary. Powoli jednak wracała świadomość, a z nią przeklęty obraz: obnażonego ciała macochy... biała pierś z zaciśniętemi na niej niememi palcami na kształt szponów dzikich, drapieżnych...

Krew zalewała mózg dziewczyny, ból, żal, nienawiść, wstręt i wreszcie wstyd za nią, za tę... tę...

— Nie ucieknę nigdzie! To pójdzie za mną! Żyć z tem nie sposób! — wyszeptały usta dziewczyny definitywnie, jasno...

Twardy mus... palący... konieczny!!!

Zerwała się i rzuciła się kilka kroków w bok.

Błysnęła jasna świetlista bruzda. Bezczelnie chłodna twarz księżyca przeglądała się w drgającem lekko zwierciadle. Cicha, spokojna, aksamitna toń...

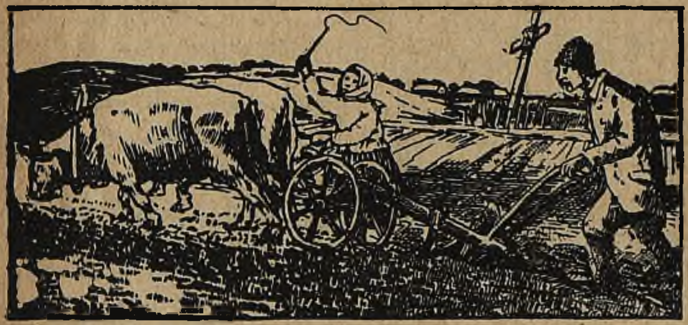
— W Imię Ojca i Syna... I odpuść nam nasze winy?!!! Nie, nie mogę!

Plusk. Sekunda żalu za życiem... Jeden bolesny okrzyk...

Zadrgała cicha toń. Cichy, spokojny nurt, zamknął w swem chłodnem wnętrzu jeszcze jeden' ból...

Świetlista brózda zmąciła się, a pełna twarz księżyca uśmiechała się bezmyślnie, srebrząc koła coraz mniejsze i mniejsze...

I znów nastała cisza.



# Poradnik gospodarczy.

### Lichwa rolnicza.

Przeżywany obecnie kryzys, specjalnie dotkliwie odbił się na rolnictwie.

Nie będzie cienia przesady, jeżeli stwierdzimy, że rolnictwo w Polsce jest bardzo poważnie zachwiane. Czy wielkie majątki, czy drobniejsi rolnicy, czy wreszcie gospodarz na kilkunastu morgach stali się — niewypłacalni.

Ostatnio niezwykle ciekawą ankietę, świetnie odzwierciadlającą trudną sytuację ekonomiczną rolnistwa, przeprowadził Instytut Gospodarstwa Społecznego.

Ankietę tę, mającą na celu zbadanie warunków egzystencji polskich rolników, przeprowadził Instytut narazie na terenie województw centralnych i wschodnich.

Wyniki są poprostu oszałamiające. Opracowana niezwykle szczegółowa ankieta, dała rewelacyjne szczegóły, dotyczące zadłużenia rolników i lichwiarzy.

Jak się okazało, z pożyczek korzystają przeważnie właściciele drobnych gospodarstw od 5 do 10 ha.

Procentowo można to ująć w ten sposób, że około 59 procent pożyczających, to drobni rolnicy i zasobniejsi włościanie, mniej więcej 12 procent — to handlarze żytem, którzy naogół dość niechętnie korzystają z wysoko oprocentowanych pożyczek, a wreszcie 28 procent przypada na różnych, między którymi można częstokroć znaleźć prawdziwych magnatów, ziemian na olbrzymich obszarach gruntu.

Niezwykle ciekawa jest ta część ankiety, z której dowiadujemy się o procentach od tych pożyczek.

Otóż okazuje się, że oprocentowanie pożyczek wynosi do 84 procent w stosunku rocznym.

Co nie wyklucza, że w niektórych wypadkach, lichwiarze, wyzyskując konjunkturę, wyciągają od rolnika do 90, a nawet 100 procent rocznie.

Trudno poprostu uwierzyć w te szaleńcze procenty, które najczęściej są dla dłużnika równoznaczne z samobójstwem, bo nie wytrzymują przy obecnej sytuacji rynkowej żadnej kalkulacji.

Rolnicy wiedzą o tem, jednakże pożyczają, kierując się najczęściej założeniem, że „jakoś tam będzie...", no i oczywiście najczęściej wpadają, pogrążając się w bezdenne trzęsawisko, długów.

Charakterystycznem jest, że mniej więcej 63 procent ogólnej sumy pożyczek lichwiarze oddają na czas nieograniczony, to znaczy, że pożyczki takie dłużnik musi zwrócić na pierwsze życzenie wierzyciela.

Jak z tego wynika, przy obecnej sytuacji gospodarczej rolnicy pracują głównie na — lichwiarzy, którzy nie mogą narzekać na ciężkie czasy.

### Serki owocowe.

Ze wszystkich przysmaków owocowo-cukrowych, serki owocowe są najłatwiejsze do przechowania, gdyż raz usmażone, osuszone i zawinięte w pergamin, nie potrzebują ani garnków, ani słojów, zajmują minimalną ilość miejsca i całą zimę wybornie dają się przechować.

Serki owocowe są skoncentrowanemi produktami spożywczemi, składają się z cukru i owoców, dwóch artykułów, bez których racjonalne odżywianie, dzieci szczególnie, jest nie do pomyślenia. Do serków można użyć każdego owocu, najlepsze jednak i najłatwiej ścinające się robimy z jabłek i śliwek.

Jabłka na serki bierzemy tylko kwaskowe, gdyż tylko takie dają się dobrze rozgotować, a następnie jako bogate w związki pektynowe, prędko i łatwo ścinają się w smażeniu. Jabłka słodkie wcale się nie nadają do wyrobu serków.

Jabłka czy śliwki, nie zbyt lub nadto dojrzałe, byle nie zgniłe, składamy w garnki i wkładamy w piec po chlebie. Gdy się doskonale upieką, fasujemy je przez rzadkie sito. Tak otrzymaną marmoladę

ważymy i na każde kilo bierzemy pół kilo cukru (na bardzo kwaśne, niedojrzałe jabłka do 60 deka na kilo, zaś przejrzałe — 40 deka). Masę owocową wkładamy do dużego garnka, stawiamy na blachę i smażymy wolno, często do dna mieszając kopystką. Dopiero gdy masa wyparuje dobrze, wkładamy cukier i, jeśli kto ma, trochę korzeni dla zapachu. Może to być cynamon, goździki, skórka pomarańczowa lub cytrynowa, każdy z tych zapachów oddzielnie, lub kilka razem zmieszanych wybornie też smakuje w serku mały dodatek utartego imbiru, nadający oprócz aromatu pewną ostrość smaku.

Po dodaniu cukru należy wciąż mieszać do dna marmoladę, ani na chwilę nie przestając, gdyż nietylko może się przypalić, lecz ma także nieprzyjemną własność pryskania, przyczem można dotkliwie i twarz poparzyć. Ręka, którą mieszamy ser owocowy, powinna być zawinięta w wilgotną szmatkę. Do mieszania używamy zwykłej kopystki drewnianej.

Jeśli smażymy ser nie w kotle, a w płaskiej miednicy mosiężnej, trzeba do mieszania użyć specjalnego przyrządu, używanego w warszawskiej szkole pszczelniczo-ogrodniczej. Składa się on z poprzecznej deseczki, osadzonej na ukos na długiej rączce, wskutek czego ręka osoby pracującej nie jest narażona na poparzenie, a masę doskonale oddzielamy od dna jednocześnie na dużej przestrzeni. Taki przyrząd każdy gospodarz, mający narzędzia stolarskie, sam sobie potrafi wykonać.

Gdy masa tak zgęstnieje, że już stawia pewien poważniejszy opór, przekładamy ją do form. Dawniej stosowany sposób wygniatania jej w płóciennym worku, jest niepraktyczny. Jeśli użyjemy płótna suchego, ser przystanie do niego, jeśli zmoczonego, zwilżymy go niepotrzebnie, co potem pleśń wywołać musi. Najlepiej jest przekładać masę serową do misek, salaterek, a nawet głębokich talerzy. Gdy zastygnie, następnego dnia daje się wyjąć doskonale. Układamy serki na deseczki, pokryte pergaminem i osuszamy przez dni parę nad blachą lub na wietrze, jak zwykłe serki twarogowe, pilnie je strzegąc od much, os itp. W tym celu pokrywamy je merlą lub muślinem.

Gdy doskonale po wierzchu obeschną, zawijamy każdy w pergamin i układamy w czystej skrzynce, byle nie ze smołowego drzewa, aby nie przeszły zapachem żywicy.

## Poradnik lekarski.

### Jakie są objawy zwapnienia żył?

Zwapnienie żył występuje w dwóch rodzajach. Przy jednym zachodzi przekrwienie naczyń, a wtedy mówi się o rodzaju pletorycznym, to znaczy krwistym; drugi połączony brakiem krwi zwany jest anemicznym — niedokrwistym.

Przy pierwszym rodzaju wygląd chorych myli często, gdyż doskonale wyglądają, miewają dobry apetyt, ale zato niezwykłe pragnienie, często potrzebę oddawania moczu, bywają zbyt tłustymi, pocą się dużo i łatwo ulegają zmęczeniu. Baczne oko lekarskie dostrzega u nich często lekkie sinawe zabarwienie twarzy, które jednak znika zaraz po odpoczynku. Prócz tego zachodzi rozszerzenie tętnic, a prawie zawsze bywają gruczoły hemoroidalne, krwawienie tychże i krwiotoki nosa.

Osoby krwiste ze skłonnościami do zwapnienia żył podlegają łatwo nieżytom, nieżytom tchawicy i opłucnej oraz rwaniu mięśni. Słowa powyższe niech jednak nie trwożą osób zbyt bojaźliwych. Ktokolwiek miewa takie objawy nie ma jeszcze zazwyczaj zwapnienia żył, tylko pewną do niego ukazuje skłonność.

Dalszym objawem jest szybkie zmęczenie, chociaż dawniej nie odczuwało się wcale zmęczenia. Innym objawem, prawie zawsze zachodzącym, jest ból głowy. Bóle głowy polegające na zwapnieniu żył po części idą w parze z mdłościami, zmęczeniem i niezdolnościami do pracy umysłowej lub cielesnej. Jeśli choroba już jest silniejszą, prawie stale bywają zawroty głowy i szum w uszach.

W podbrzuszu przy zwapnieniu żył prawie zawsze zachodzą niedomagania w obiegu krwi we wątrobie i przewodzie jelitowym. Uczucie pełności, odbijanie się, palenie zgagi, wielka skłonność do tworzenia się gazów są dalszemi objawami. Skutki ich udzielają się sercu i płucom; po posiłkach zawsze bywają lekkie duszności, bicie serca i uczucie obawy. Przy innych cierpieniach wzdęcia nie powodują duszności, natomiast przy zwapnieniu żył są one znamienne, ponieważ w tym razie serce jest nadwerężone. Skłonność do nieżytów przy krwistym rodzaju zwapnienia żył na tem polega, że błony śluzowe wtedy prawie ciągle bywają nazbyt przekrwawione.

Przy każdem zwapnieniu żył serce w mniejszym lub większym stopniu ucierpi. Potęgowanie się oporu w obiegu krwi wymaga bowiem wzmożonej pracy serca, a z czasem powoduje rozszerzenie serca, odpowiednio do stanu zwapnienia. Tętno bywa pełne, twarde i przyspieszone, a przy gorszym stanie choroby, nieraz całkiem ustaje.

Prócz tego bywają często niedomagania w oddychaniu; przy gorszym stanie choroby zawsze zachodzą. Bywa ono tak, jak tętno nieregularne i wprost podpadające. U osób starszych nawet na lżejsze niedomagania przy oddychaniu należy baczną zwracać uwagę.

Objawy duszności nie zawsze są skutkami chorobliwych niedomagań. Częstokroć raczej są one objawami pomocniczemi do wyleczenia, mianowicie z tego względu, że ułatwiają ciału większe wchłanianie tlenku; stąd też przy zwapnieniu żył częstokroć zachodzi rozszerzenie lub rozdęcie płuc, a to prowadzi do rozwapnienia tętnic.

Takie oto są najczęściej zachodzące objawy zwapnienia tętnic. Rozpoczynają się one zazwyczaj lekkiemi objawami, które wprawne oko lekarza łatwo rozpoznać może, atoli powoli coraz gorzej występują, przyczem głównie okazują się objawy sercowe, płucne i w głowie.

Powyżej opisany rodzaj zwapnienia żył polega na przekrwawieniu i częściej zachodzi, ale zato łatwiej jest uleczalny. Drugi polega na braku krwi. Zachodzi u osób młodych już około 30 roku życia. Coprawda rzadziej się zdarza. Tacy chorzy są źle odżywiani, miewają wygląd blady i mizerny, cierpią na złe trawienie, silne bicie serca, brak oddechu, zawroty i bóle głowy. Zachodzi w takich razach ogólne niedomaganie odżywiania narządów, w połączeniu z nieprawidłową pracą tętnic.

# KRONIKA.

**Budowa kolei Kraków - Miechów.** Ministerstwo komunikacji prowadzi obecnie prace nad pomiarami na trasie projektowanej linji kolejowej Kraków - Miechów. Linja ta ma za zadanie polepszenie komunikacji pomiędzy Warszawą a Krakowem; obecnie komunikacja ta odbywa się drogą okrężną przez Częstochowę-Ząbkowice-Szczakową, lub też przez Dęblin-Radom-Strzemieszyce-Szczakową. Kolej Kraków Miechów-Kozłów długości 52 klm. przyczyni się do podniesienia życia gospodarczego urodzajnej, lecz mało uprzemysłowionej części kraju. Pozatem wskutek skrócenia linji komunikacyjnej z Dęblina do Krakowa o 83 klm. otrzyma znaczenie linji tranzytowej, odciążającej obecnie przeciążony odcinek kolejowy Kraków-Trzebinia-Szczakowa. Znaczenie tej kolei jeszcze się wzmoże po wybudowaniu linji Warszawa-Radom, kiedy odległość pomiędzy Warszawą a Krakowem wyniesie 312 klm., co w porównaniu z obecną odległością Krakowa od Warszawy 364 klm. da skrót o 52 klm. Ponadto projektowana linja kolejowa będzie miała doniosłe znaczenie ogólnopaństwowe, stwarzając dodatkowe połączenie b. zaboru rosyjskiego z b. zaborem austrjackim. Koszt budowy linji kolejowej Kraków - Miechów - Kozłów wraz z niezbędnemi połączeniami wyniesie około 30 miljonów złotych. Rozpoczęcie prac nad budową tej linji uzależnione jest całkowicie od kredytów. Prawdopodobnie jednak wstępne prace rozpoczęte zostaną jeszcze w roku bieżącym.

**Zbrojny napad górali.** Kilkuset uzbrojonych górali napadło na budynek zarządu lasów państwowych w Witowie, gdzie obradowała wojewódzka komisja nad wydzieleniem terenów lasowych tatrzańskich w 7 gminach nadleśnictwa witowskiego, celem zabezpieczenia regli w zachodnich Tatrach przed dziką i rabunkową gospodarką górali. W wyniku napadu pobici zostali do nieprzytomności inż. Kabłak z Nowego Targu, inż. Tadeusz Owczarek, wojewódzki inspektor lasów, Madeyski inspektor lasów z N. Targu oraz ścigany i ostrzeliwany przez górali nadleśniczy Krzysiak z Witowa. Starostwo i policja państwowa z Zakopanego prowadzi energiczne dochodzenia, celem ujęcia przywódców napadu i ukarania winnych.

**Krwawy odpust w Będziemyślu.** W czasie odpustu w Będziemyślu w powiecie ropczyckim na tle porachunków osobistych doszło do straszliwej masakry pomiędzy 40 parobczakami, którzy rzucili się na siebie wzajemnie z nożami. Część parobczaków uzbrojona była w rewolwery, które puszczono w ruch i które pociągnęły za sobą fatalne skutki. Ranni poważnie zostali Ignacy Przypek, Stanisław Sroka i Józef Totoń. Reszta lżej rannych parobków zdołała zbiec. Wymienionych przewieziono do szpitala. Policja zlikwidowała zatarg, aresztując najwięcej winnych w osobach Władysława Woźnika oraz Florjana Stręka z Siedlec.

**Wyrodna matka.** W Laskówce (powiat Brzozów) usiłowano dokonać morderstwa na osobie Władysława Konopki, do którego w czasie snu oddano cztery strzały rewolwerowe, które raniły go ciężko w pierś i ręce. Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że mordu na Konopce usiłowali dokonać bracia Bronisław i Ignacy Kaszyccy, za namową matki Konopki, Katarzyny. Tłem tej ohydnej zbrodni był spór majątkowy między matką a synem. Ciężko rannego Konopkę przywieziono do szpitala, zaś matkę jego oraz wynajętych zbirów aresztowano.

**Atak bandytów na plebanję.** W nocy z 27 na 28 sierpnia b. r., około godz. 2, dwaj nieznani bandyci z rewolwerami w ręku wtargnęli przez okno do rzym.-kat. plebanji na Kleparowie, przedmieściu Lwowa, do mieszkania proboszcza ks. Wojciecha Kucaba. W czasie, gdy ks. Kucab spał w trzecim pokoju, bandyci poczęli pakować jego rzeczy w dwóch innych pokojach. Na szczęście równocześnie dwaj posterunkowi, Rudolf Frank i Edward Zapałowicz, stacjonowani na posterunku w Kleparowie, będąc w służbie obchodowej, zbliżyli się właśnie do kościoła, a potem podeszli do plebanji. Posterunkowy Frank zauważył, że na oknie ks. Kucaba brakuje wazonków z kwiatami, oraz że brak kawałka szyby w jednem oknie. Natychmiast powziął podejrzenie, że wewnątrz grasują złodzieje. Zbliżył się więc pod okno, płosząc bandytów w ich robocie. Bandyci poczęli wewnątrz strzelać w kierunku okna, pod którem znajdował się posterunkowy, oddając 6 strzałów rewolwerowych. Jedna z kul trafiła post. Franka w lewy bok. Gdy ten usunął się z pod okna, bandyci wyskoczyli przez nie i ostrzeliwując się, zbiegli w stronę lasku kleparowskiego. Ks. Kucab nie poniósł żadnej szkody, gdyż spłoszeni bandyci nie mieli czasu zabrać rzeczy. Na miejscu zjawił się komendant posterunku, który wdrożył natychmiast dochodzenia w celu wykrycia sprawców.

**Włamywacze w Kasie oszczędności.** W nocy z 24 na 25 sierpnia nieznani osobnicy włamali się do biur Kasy oszczędności miasta Drohobycza, mieszczących się w Ratuszu w Rynku. Złodzieje skryli się prawdopodobnie w suterenach gmachu przed zamknięciem bram. Stąd dostali się na drugie piętro i wytrychem otworzyli drzwi biura, w którym mieści się kasa ogniotrwała. Przy pomocy „raka“ rozpruli boczną ścianę kasy. Mieli jednak pecha, nie znaleźli bowiem — jak donoszą — ani grosza.

**Rabunek dolarów.** We wsi Hajniki obok Turki mieszka gospodarz Mikołaj Jaworski, który niedawno powrócił z Ameryki, gdzie przebywał przez kilka lat. Tak we wsi, jak też w okolicy, powszechnie mówiono, że Jaworski przywiózł ze sobą kilka tysięcy dolarów, wskutek czego złodzieje okoliczni postanowili skraść Jaworskiemu te dolary. Nad ranem pięciu uzbrojonych w rewolwery bandytów wtargnęło do mieszkania Jaworskiego i związawszy go sznurem, rozbili komodę, z której zrabowali 425 dolarów w gotówce, złoty pierścień i niklowy zegarek, poczem zbiegli.

**Sensacyjne aresztowanie w Borysławiu.** Z Borysławia donoszą, że w toku dalszych dochodzeń w sprawie skrytobójczego morderstwa na osobie wywiadowcy policji ś. p. Jakóba Buksy dokonano nowego aresztowania. Mianowicie aresztowany został znany komunista borysławski Stanisław Kostek, który według zeznań świadków współdziałał w morderstwie dokonanem przez Adamskiego. Kostka odstawiono do więzienia w Samborze.

**Napad zamaskowanych bandytów.** Czterech zamaskowanych i nieznanych na razie sprawców wtargnęło, po wybiciu okien, do mieszkania Iwana Mykietiuka w Kluczowie Wielkim, pow. Kołomyja. Jeden ze sprawców napadu narzucił Mykietiukowi kożuch na głowę, poczem zadał mu kilka ciosów tępem narzędziem w głowę, drugi sprawca zaś przytrzymał leżącą w łóżku żonę. Pozostali dwaj osobnicy przeszukali szczegółowo ubikacje mieszkania, porozbijali zamki w skrzyniach w poszukiwaniu za gotówką, poczem, grożąc domownikom biciem, żądali wydania pieniędzy. Po przeszukaniu mieszkania sprawcy, nic nie zabrawszy, zbiegli. Pościg za nimi zarządzono.

**Fabryka fałszywych pieniędzy.** Z Częstochowy donoszą: Na Ostatnim Groszu, ponurem przedmieściu Częstochowy, znajduje się mała kuźnia, której właścicielem jest Kozłowski. Starego kowala znała z uczciwości ludność okoliczna i wszyscy z zaufaniem korzystali z je-

go pracy. Z chwilą, kiedy wrócił z wojska syn Kozłowskiego, Jan, dużo się w kuźni zmieniło. Młody człowiek przebywał stale w towarzystwie najrozmaitszych mętów społecznych, a ostatnio zaprzyjaźnił się specjalnie z niejakim Władysławem Opalą, rytownikiem z zawodu, który nie cieszył się tu bynajmniej dobrą opinją. Sąsiedzi zauważyli, że w kuźni toczą się do późnej nocy tajemnicze konszachty, a ostatnio spostrzeżono światło i ogień, płonący w kominie do świtu. Wszystko to zwróciło uwagę władz śledczych, które pewnego pięknego wieczoru zjawiły się całkiem niespodziewanie w kuźni, zarządzając szczegółową rewizję. Narazie zarówno Jan Kozłowski, jak i obecny Opala stawiali się. Jednak kiedy zorjentowali się, że policja jest na tropie dowodów rzeczowych, zbledli i usiłowali umknąć przez boczne drzwiczki. Ucieczka niepowołanych fabrykantów pieniędzy została dostrzeżona w porę i uniemożliwiona. W starym miechu kowalskim wykryto schowany cały arsenał narzędzi, potrzebnych do wyrabiania fałszywych monet, a więc: krążki wielkości jednozłotówki, prasę, płyn do uszlachetniania podrzędniejszych metali, pewną ilość blachy i t. d. Obaj winni, widząc się w potrzasku, zeznali, że „robota“ ich była w pełnym toku i lada dzień byliby wypuścili na miasto znaczniejszą ilość fałszywych pieniędzy. Opala i Kozłowski zostali aresztowani i osadzeni w areszcie śledczym.

**Zbrodnia na festynie.** Z Częstochowy donoszą: W czasie zabawy publicznej niejaki Jan Mielczarek, właściciel dwóch domów w Częstochowie, dobrawszy sobie do pomocy trzech młodych kompanów, zaciągnął do opuszczonej leśniczówki młodą dziewczynę i tam wszyscy czterej dotkliwie ją pobili. Ciężko poranioną i pobitą dziewczynę w stanie groźnym odwieziono do szpitala, czwórkę zbrodniarzy zaś aresztowano.

**Inteligenci przy łopacie.** Obecny kryzys gospodarczy daje się wszystkim we znaki. Wskutek redukcyj wielu inteligentów znalazło się bez pracy. A tu trzeba jeść i dać jeść rodzinie. W ostatnich czasach coraz częściej zdarza się więc w Warszawie, że inteligencja, nierzadko z wyższem wykształceniem, najmuje się do robót fizycznych. W Sejmie naprzykład zawakowało 12 posad przy uprzątaniu i niwelacji ogrodu sejmowego. O posadach tych dowiedziały się zarządy kilku związków zawodowych pracowniczych oraz organizacje byłych wojskowych. O dwanaście posad robotników ziemnych rozpoczęła się między tymi związkami formalna walka i wyścig stosunków i protekcyj. Wkońcu zwyciężyła jedna z organizacyj b. wojskowych. Dwunastu jej członków, z ogólnej ilości stu kandydatów, zgłosiło się w intendenturze Sejmu do pracy. Jakież było zdziwienie urzędnika, kiedy przyszło do zapisywania nazwisk i kwalifikacyj zawodowych robotników. Między dwunastu przyjętymi znalazł się jeden doktor filozofji, dwóch dyplomowanych techników, jeden kapitan rezerw., oraz jeden porucznik rez. Szóstym inteligentem jest pewien właściciel ziemski, oficer rezerwy, który pokrywszy ze sprzedaży tegorocznych plonów długi, sam zarabia na życie jako robotnik. O przyjęciu go na „posadę“ zdecydowało, iż ma ukończone wyższe 3-letnie studja ogrodnicze. Szczęśliwi wybrańcy losu, którzy ubiegli innych i dostali się do pracy, zarabiają 6 zł. 30 gr. dziennie.

**Wizyta złodziejska u zamożnego wieśniaka.** Niewykryci dotąd sprawcy dokonali niezwykle śmiałej kradzieży we wsi Pruszków pod Pabjanicami. Terenem operacji złoczyńców była zagroda zamożnego wieśniaka, niejakiego Franciszka Łuczaka. Złodzieje wytruli psy podwórzowe, poczem włamali się do spichlerza, gdzie spodziewali się znaleźć wiele cennych rzeczy. Zawiódłszy się w rachubach włamywacze wdarli się następnie na strych domu mieszkalnego, skąd skradli kilka garniturów sukien, kilka par butów, kilkadziesiąt metrów płótna, oraz kilka szynek i połeć słoniny. Po dokonaniu włamania sprawcy zbiegli. Jak zdołano stwierdzić, włamywacze przyjechali, jak również odjechali, samochodem osobowym, co każe przypuszczać, iż działała tu zorganizowana szajka. Wszczęto dochodzenia.

**Z jelitami w ręku do lekarza.** Z Kowla donoszą: Niesamowity i grozą przejmujący widok przedstawił się onegdaj mieszkańcom wsi Kniaźsioło w powiecie kostopolskim na Wołyniu. Oto drogą szedł mieszkaniec tej wsi Jan Mironiec, przytrzymując sobie rękami wypadające mu z przerżniętego brzucha jelita. Szedł tak z odległej łąki, gdzie, jak się później okazało, został raniony nożem przez niejakiego Kaspra Maksymowa w czasie sprzeczki z nim. Sprzeczka ta miała zupełnie błahy powód, bo zaczęła się od tego, że pies wystraszył cielę Mirońca. Za „obrażonem“ cielęciem ujął się brat Jana, za co oberwał od Maksymowa, poskarżył się bratu, a ten z kolei zaczął się z nim kłócić. W pewnym momencie Maksymow, który od dziecka nienawidził Jana Mirońca, pchnął go nożem w brzuch tak silnie, że ranionemu wyszły jelita na wierzch. Mimo tej niebezpiecznej dla życia rany, zdołano Mirońca utrzymać przy życiu. Maksymowa policja aresztowała.

**Podpalenie z zemsty.** Z Brześcia nad Bugiem donoszą: Na tle sporu majątkowego pomiędzy braćmi Łuszczyca, jeden z nich Łucjan, podłożył ogień pod dom swego brata Maksyma w Drohiczu. Ogień przerzucił się na sąsiednie budynki, wskutek czego spłonęło 20 domów mieszkalnych, 14 stodół i 22 drobne zabudowania gospodarcze. Podpalacza aresztowano.

**Ucieczka wychowanki z klasztoru.** Z Katowic donoszą: Przed kilkunastu tygodniami do domu wychowawczego, pozostającego pod opieką zakonnic przy ul. Żytniej 9, zgłosiła się ze łzami 20-letnia Zofja Kalinowska. Przybyła błagała siostry o przyjęcie do zakładu, gdyż jeden z jej znajomych nie dawał jej spokoju, stale ją napastując i prosząc o zgodę na małżeństwo. Przełożona, wysłuchawszy opowieści dziewczyny, przyjęła ją do zakładu. Zofja Kalinowska zachowywała się początkowo wzorowo, tak, że siostry powierzyły jej opiekę nad młodszemi wychowankami. W czasie spacerów Kalinowska przypadkowo spotkała się ze swym adoratorem, od którego uciekła za mury klasztoru. Kilka chwil rozmowy wystarczyło, by Kalinowska zmieniła zdanie. Adorator zdołał ją namówić do ucieczki z zakładu. Zrana, gdy nadeszła pora rozpoczęcia prac w szwalni, gdzie Kalinowska była zatrudniona jako dozorczyni, spostrzeżono jej nieobecność. Po dłuższych poszukiwaniach dozorca zakładu spostrzegł na murze okalającym ogródek zakładu drabinkę sznurową, zapomocą której Kalinowska uciekła. Oględziny pokoju, zajmowanego przez Kalinowską, potwierdziły przypuszczenia przełożonej zakładu, że Kalinowska uciekła, zabierając ze sobą wszystkie swe rzeczy.

**Zbrodnia łabędzia i kara bocianów.** Oryginalny i dramatyczny wypadek zdarzył się niedawno w Grossgesterwitz (w Meklemburgu). Na jednem z jezior pływał sobie łabędź, strzegąc zazdrośnie swej połowicy. W tym samym czasie zjawił się młody bocian, który jął spacerować po brzegu w pobliżu łabędziego gniazda. Nie wiadomo, czy przybył „w uczciwych zamiarach“, czy też nie, dość, że łabędź w wizycie jego dopatrzył się niebezpieczeństwa dla swego życia rodzinnego i zajął obronną pozycję. Gdy to nie poskutkowało, silnem uderzeniem skrzydła zrzucił bociana do wody. Łabędź nie zadowolił się porażkę rywala, lecz rzuciwszy się nań całym ciężarem, trzymał go pod wodą tak długo, aż go

utopił. Zbrodnię łabędzia dostrzegły inne bociany. Momentalnie zwołany został na jednej z wysepek wiec, w którym udział wzięło kilkanaście bocianów. Rezolucja musiała być straszna. Całe stado bocianów rzuciło się na łabędzia z zamiarem ukarania go za zabójstwo. Na pomoc łabędziowi wypłynęła z gniazda jego towarzyszka. Przewaga sił była jednak po stronie bocianów. Zaczęła się zacięta walka. Rozwścieczone bociany biły łabędzie po głowach swemi długiemi dziobami, aż je zupełnie uśmierciły. Nie zakończył się jednak na tem wymiar sprawiedliwości. Bociany przepchały dziobami zwłoki łabędzi na środek jeziora tak, aby prąd uniósł je ze sobą, poczem wróciły do gniazda łabędziego i urządziły zupełny pogrom. Krwawa zemsta została dokonana.

**Krwawa tragedja miłosna.** W kancelarji kinoteatru „Apollo" w Wiedniu rozegrała się krwawa tragedja na tle miłosnem. Sekretarka Rosa Pueregger zastrzeliła dyrektora kinoteatru Alexandra, poczem strzeliła do siebie, raniąc się śmiertelnie. Dyr. Alexander utrzymywał ze swą sekretarką przez dwa lata bliższe stosunki i obiecywał jej, że rozwiedzie się ze swoją żoną. Prawdopodobnie odmowa rozwodu skłoniła p. Pueregger do rozpaczliwego kroku.

**Straszny wypadek w szpitalu.** Rodzice pewnej 13-letniej dziewczynki w Wiedniu, gdy ta zachorowała ciężko na szkarlatynę, zmuszeni byli oddać ją do szpitala. Żywili jednak nadzieję, że ukochane dziecko wyzdrowieje, mając tam staranną opiekę lekarską i dozór.



Choroba jednak postępowała swoją koleją, w pierwszych dniach po oddaniu córki do szpitala, gdy ją rodzice odwiedzali, zdawało im się, że może być uratowana, jak tyle innych dzieci. Aż pewnego dnia, gdy matka przyszła odwiedzić ją, dowiedziała się strasznej prawdy. Dziewczę już nie żyło, zmarło lecz nie na szkarlatynę, ale w sposób tragiczny. Oto w napadzie silnej gorączki skoczyła do okna i stąd rzuciła się na bruk podwórza szpitalnego. W gorączce była tak silna, że choć posługaczka chwyciła ją, gdy wskoczyła na okno, nie mogła jej wstrzymać.

**Szczekający człowiek.** W dobie obecnej roi się od pomysłowych ludzi, którzy szukają różnych sposobów zarabienia pieniędzy. Na jakie pomysły wpadają niektórzy „spryciarze", dowodzi historja „człowieka, który szczeka". W jednym z dzienników paryskich znajdujemy następujący ciekawy przykład nieznanego dotychczas sposobu zarabiania: „Spotykam — mówi dziennikarz — jednego z moich dawnych kolegów.

— Co ty teraz robisz, gdzie pracujesz — pytam go.

— Nigdzie — odpowiada. Znalazłem sobie lepszy fach. Zajmuję się szczekaniem.

— Szczekaniem?

— Zaraz ci to zademonstruję — powiada.

Wchodzimy razem do kamienicy. Idąc po schodach, mój kolega zaczyna głośno szczekać, przystając na każdem piętrze. Po pewnym czasie to z tego to z owego mieszkania odpowiada mu prawdziwy pies. Mój towarzysz notuje pilnie numer mieszkania i nazwisko właściciela.

— Co ci z tego przyjdzie? — zapytuję.

— To właśnie mój fach! — odpowiada. — Z temi zapiskami udaję się do biura podatku od psów i wraz z odnośnym urzędnikiem kontrolujemy właścicieli którzy nie zgłosili swych psów do opłaty. Połowa ściągniętej grzywny przypada dla mnie. Zapewniam cię, że to niezły zarobek. Bywają dnie, w których dostaję za to 200 do 300 franków.

**Nowy rząd w Anglji.** Nietylko my w Polsce przeżywamy kryzys gospodarczy, ale przeżywają go i inne państwa europejskie, a, jak wiadomo, Niemcom grozi nawet bankructwo. Do tych krajów, które znalazły się w groźnej sytuacji finansowej przybyła ostatnio Anglja. Z zestawień budżetowych okazało się, że braknie tam dużo pieniędzy, aby pokryć najkonieczniejsze wydatki. Trzeba było ratować kraj przed katastrofą. Ale Anglicy są ludźmi rozumnymi. Wszystkie trzy stronnictwa, a więc socjaliści, którzy dotychczas dzierżyli władzę, konserwatyści i liberali porozumieli się ze sobą, zaprzestali dotychczasowych walk i utworzyli wspólny rząd pod wodzą dotychczasowego premjera Mac Donalda, który ma na celu uzdrowienie gospodarki państwowej.

**Teściowa na łańcuchu.** Pewien właściciel domu w miejscowości francuskiej Tailhac, nazwiskiem Basile Vissac został aresztowany w gabinecie sędziego śledczego na skutek niesłychanego zajścia. Vissac, który jest kaleką, gdyż podczas wojny stracił wskutek postrzału władzę w nogach, znany jest z tego, że teściową swoją trzyma w domu na łańcuchu, a gdy wyjeżdża, kobieta ta przykuta jest do jego wozu. Żandarmi, którzy zjawili się u niego na skutek skargi sąsiadów, sami mogli stwierdzić, że teściowa Vissaca przytwierdzona była łańcuchem do drzewa. Tam Vissac obrzucił ich wyzwiskami i zachował się wobec przedstawicieli władzy wyzywająco. U sędziego śledczego zjawił się osobiście, prowadząc teściową na łańcuchu, wobec czego słowne przyznanie się do winy okazało się zbytecznem. I tu oskarżony w sposób niesłychany napadł na obecnych żandarmów i nie darował też i samemu sędziemu. Odprowadzono go natychmiast do więzienia, a teściowa wróciła do domu, prowadzona na łańcuchu tym razem przez własną córkę.

**Zagłada Chin.** Wedle otrzymanych w Londynie doniesień z Szanghaju, na terenie, objętym wylewem rzeki Jang-Tse w Chinach, ludność dziesiątkują obecnie choroby i głód. Całe gromady wynędzniałych ludzi wędrują w stronę miast, żywiąc się liśćmi i korą drzew. Kto zasłabnie i padnie na drodze, pozostawiony jest własnemu losowi. Równocześnie z głodem pojawiła się cholera. W głębi kraju wymarły do ostatniego człowieka całe wsie. Punkt kulminacyjny powodzi w Chinach jeszcze nie nastąpił. Rzeka Jang-Tse Kiang w środkowych Chinach w okręgu Hankau wzbiera w dalszym ciągu i podmyła ostatnio dworzec i liczne linje kolejowe. Komunikacja telefoniczna z obszarem powodziowym jest przerwana. W okręgu Czu-Czou zatopione zostały przez powódź 33 rejony. Do liczby 28 miljonów ofiar przybyło nowych 5 miljonów mieszkańców okręgu Czu Czou, którzy pozostali bez dachu nad głową i bez środków do życia. Katastrofa powodzi w Chinach przewyższa największe katastrofy świata, zanotowane od czasów historycznych. Jeżeli dodamy do tego niemal nie kończącą się wojnę domową w Chinach, możemy śmiało mówić o częściowej zagładzie tego kraju.

# RZECZY CIEKAWE.

### Dawna poczta polska.

Najdawniejszy ślad poczty w dawnej Polsce spotykamy za panowania Bolesława Chrobrego, który postanowił, żeby wszystkie miasta dawały konie albo ludzi pieszych do rozwożenia poleceń władzy. Następcy jego rozciągnęli te obowiązki, pod nazwą podwód i na wsie, za wynagrodzeniem pieniężnem. Stałe urządzenie podwód nastąpiło za Zygmunta Augusta (w roku 1564), który utrzymywał także własnym kosztem pocztę zagraniczną, szczególniej z krajami włoskiemi.

Stefan Batory w roku 1583 nadał przywilej na pocztę zagraniczną Sebastjanowi Montelupi; w jego rękach zostawała odtąd bez przerwy, a spadkobiercy mieli ją jeszcze za panowania Jana Kazimierza.

Zygmunt III wszystkie dochody z podwód przeznaczył na urządzenie poczt w Koronie i na Litwie w roku 1620, ustanowił dozór, zaprowadził administrację i przepisał porządek, aby miasta główniejsze odbierały co tydzień wszelkie zawiadomienia i listy.

Przepisy te uzupełnili synowie jego: Władysław IV w r. 1647 i Jan Kazimierz w r. 1659, Jan III Sobieski w latach 1677 i 1678 rozwinął więcej w szczegółach prawa i obowiązki poczty w całem państwie, a August II, wstąpiwszy na tron, rozszerzył zakres jej działania. Lecz wojna szwedzka w r. 1702 wszystko to zniszczyła; wznowił wprawdzie zakłady pocztowe August III, właściwie jednak dopiero Stanisław August zaprowadził pewien ład i porządek pod tym względem ustawami 1766 i 1777 roku, dokładając wszelako z własnych funduszów na utrzymanie poczty.

Za rządu pruskiego wprowadzono pierwszy raz sztafety, ekstrapoczty, kurjerów i listonoszów (bryftregierów) w r. 1799, a za Księstwa Warszawskiego powstały dyliżanse w r. 1808, przynosząc znaczny dochód skarbowi.

Do prywatnych korespondencji możni panowie utrzymywali własnych posłańców konnych, którzy z nadzwyczajną szybkością rozwozili listy.

Pomiędzy Wilnem a Warszawą oraz Krakowem była już w roku 1753 stała poczta, która przychodziła co dni dziesięć. Później urządzono trakty stałe z Grodna do Lublina i po całej Rusi.

Wszystkie poczty wewnątrz kraju musieli pocztyljoni odbywać konno lub pieszo.

Stanisław August szeregiem przepisów zapewnił wygodę dla podróżnych, ustanowił taksę od listów i koni, kazał drukować instrukcje, polecił wydawać kwity za wszelkie opłaty. Domy pocztowe uwolnił od wszelkich kwater i załóg żołnierskich, zabezpieczył od gwałtów; jadącym kazał przed pocztą ustępować z drogi, mosty i drogi utrzymywał w dobrym stanie. Poczta przychodziła codziennie, z wyjątkiem czwartków i niedziel, odchodziła cztery razy tygodniowo: w poniedziałek, środę, czwartek i sobotę.

Pierwsze skrzynki pocztowe zawieszono w Warszawie w roku 1806: na ul. Długiej, Senatorskiej oraz na Nowym Świecie. — W roku 1815 powiększono liczbę poczt; dwa razy na tydzień, w środę i niedzielę, zaczęła odchodzić poczta wozowa do Berlina przez Poznań.

Przy traktach, mających drogę brukowaną, stanęły wygodne domy pocztowe dla podróżnych.

Przepisano mundur i znaki dla poczty i założono szkołę dla pocztyljonów, gdzie uczyli się jazdy konnej i gry na trąbce.

### Kto wynalazł loterję?

Początków loterji należy szukać we Włoszech. We Florencji mianowicie rozpoczęto w r. 1530 pierwsze próby wprowadzenia loterji. Za przykładem Florencji poszły inne kraje włoskie, lecz we Francji loterja nie znalazła jeszcze wtedy zrozumienia. W 17 wieku zaczęła się loterja klasowa rozpowszechniać w krajach germańskich.

Loterja liczbowa jako przedsiębiorstwo państwowe, weszła poraz pierwszy w życie w Genui. Powstanie tej loterji było bardzo ciekawe. Wybory do Wielkiej Rady, które się tam odbywały co roku, rozpisywano w ten sposób, że układano listę 90 kandydatów, z których pięciu miało być wylosowanych. Wtedy tam wprowadzony został zwyczaj zakładu o poszczególne osoby kandydujące. Rząd genueński wpadł wtedy na pomysł wprowadzenia tego rodzaju loterji jako monopolu państwowego.

W drugiej połowie 18 wieku loterja została także wprowadzona we Francji. Austrja wprowadziła loterję w 1810 i wszędzie gdzie ten system loterji został wprowadzony, przyjęto zasadę genueńską.

### Słynne kabalarki.

Kabała, owa sztuka wróżenia i przepowiadania przyszłości z kart, jest umiejętnością bardzo starą, która przetrwała wieki i która trwa nadal, mając tysiące przyjaciół i zwolenników.

Stawianiem kabały zajmowało się w ciągu wieków setki tysięcy osób, a sława i popularność niektórych nietylko, że głośną była w swoim czasie, ale przeszła do historji, przeszła do nazwisk tych, które trwać będą na ziemi tak długo, jak długo trwać będzie człowiek.

W litanji słynnych nazwisk układaczy kart, na czołowem miejscu błyszczeć będą zawsze nazwiska dwóch największych kabalarek Marji Lenormand i Zofji Lhullier.

Marja Lenormand zjawiła się na widowni publicznej we Francji, za czasów Ludwika XVI. Przepowiednie jej nabrały wkrótce takiego rozgłosu, że zawezwano ją na dwór królewski. Młoda dziewczyna, aczkolwiek przy pomocy swej tajemniczej sztuki i intryg mogłaby zająć wybitne i wpływowe stanowisko, nie wykorzystała swej sytuacji. Przepowiedziała dokładnie groźny los, jaki czeka Francję, upadek monarchji, domu królewskiego, wybuch rewolucji i tragiczny koniec Bourbonów.

Kiedy rzeczywiście przepowiednie jej spełniły się, terroryści za utrzymywanie bliskich stosunków z Marją Antoniną, osadzili ją w więzieniu, z którego wydostała się dopiero za czasów cesarstwa. Ona to przepowiedziała Józefinie, że zostanie cesarzową Francji.

Powodzenie panny Lenormand, wciągnęło ją w końcu w sieć intryg politycznych, które zakończyły się wygnaniem z Francji. Na emigracji, w roku 1814, wydała książkę, ogłaszając w niej szereg ciekawych przepowiedni, zapowiadając upadek Napoleona I i przywrócenie we Francji władzy królewskiej.

Przepowiednie panny Lenormand cieszyły się uznaniem najwybitniejszych osobistości. Bardzo cenił jej kabałę także i car Aleksander I.

Słynna kabalarka powróciła na starość do Paryża i tu w 1845 r. umarła.

Drugą, niemniejszą sławą cieszącą się była kabalarka Zofja de Puget Lhullier, która miała specjalny wpływ na króla Stanisława Augusta, któremu przepowiedziała koronę królewską.

Po spełnieniu się przepowiedni, król Stanisław wezwał ją na stały pobyt do Warszawy, gdzie przygotował jej specjalny pałacyk nadzwyczaj gustownie i wytwornie urządzony, pełen zakamarków, skrytek i tajemniczych przejść. Pałacyk ten wznosił się na miejscu dzisiejszej resursy obywatelskiej.

Panna Lulli, jak ją popularnie w Warszawie nazywano, cieszyła się poważaniem najwybitniejszych sfer towarzyskich, a w zacisznych komnatkach jej pałacu stale roiło się od ciekawych, pragnących poznać zakrytą przyszłość. Częstym gościem był także i król.

Kabalarka do Francji już nie powróciła. Umarła w Warszawie w 1805 roku, a pochowano ją na Powązkach.

---

### ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Czytelnicy „Roli" w Wieliczce:** Za słowa, pełne uznania dla „Roli", serdecznie dziękujemy. Niektóre życzenia uwzględnimy, jak n. p. podawanie wygranych „dolarówek", natomiast drukować wspomnianej powieści na razie nie możemy, gdyż po pierwsze mamy w tece trzy nadzwyczaj zajmujące powieści, specjalnie napisane dla „Roli", a przecież wiadomo, że powieść, nigdzie dotychczas niedrukowaną, czytają wszyscy, natomiast przedruk tylko niektórzy. Powtóre powieści tej nie mamy, a po trzecie, niewiadomo, czy rodzina zmarłego niedawno autora na druk jej by zezwoliła. **Franciszek Chmiel** w P.: Takie wybryki u pszczół zdarzają się niejednokrotnie. — Pszczoły nawet we wrześniu matkę wychowają, a o ile są truty w pasiece, a być powinny przynajmniej w tym ulu, gdzie jest bezmatek, wszystko odbędzie się na czas. Aby taka spóźniona matka dobrze jeszcze na zimę zaczerwiła, należałoby pień podkarmiać podniecająco rzadkim syropem, a na zimę, z końcem września, dobrze podkarmić gęstym syropem, lub dać zapasowe ramki z miodem. Miałem zeszłego roku taką wrześniową matkę; pszczoły wyszły z zimy b. silne. W sprawie miodu niech Pan napisze do fabryki „Kryształ" w Krakowie (Podgórze). Programu radjowego zamieszczać nie możemy, gdyż radjostacja krakowska wydaje go, jak dla nas, zapóźno. **Stanisław Jucha** w K.: Do zamieszczenia w „Roli" nie, chyba dla nas na pamiętkę. **Władysław Furmanek** w R.: Nadesłany nam wiersz jest za długi dla „Roli", więc go nie zamieścimy. **Antoni Kolbuszowski** w R.: Wierszyk „Siejba" nie najgorszy, najważniejszy jednak błąd w nim, to dwukrotne użycie zdania: „Nie marnuje ono czas". Przy przeczeniu musi być drugi przypadek, a więc: „Nie marnuje ono czasu", a nie czwarty, ale wówczas rym zniknie zupełnie. **Kazimierz Kacynel** w D.: Jak to już raz Panu napisaliśmy, wierszyki Pańskie zdradzają pewien talent, ale forma jeszcze nieopanowana, przeto nie możemy ich drukować. W każdym razie niech Pan pisze, przynajmniej dla siebie, a forma z czasem się wyrobi. Gdybyśmy mieli więcej miejsca, tobyśmy może i my który zamieścili. — **Młot** w K.: Pracę Pańską czytamy z zajęciem i jak dotychczas zainteresowanie nie słabnie. Utrudnia jednak czytanie zbyt wodnisty i blady atrament, a nadto musimy poprawiać liczne usterki ortograficzne. O ile i dalszy ciąg będzie taki, jak dotychczas, to rzecz byłaby godna druku. **Janina Skowrońska** w Z.: Niechże Pani siedzi przy rodzicach, a nie wybiera się do miasta. W Krakowie, a i innych miastach o jakiekolwiek zajęcie trudno, a gdy się nawet otrzyma, to młoda i przystojna panienka narażona jest na tysiące niebezpieczeństw. A cześć osobistą łatwo w tym wirze utracić, lecz odzyskać jej nie można. **Karol Skalski** w D.: Powiększyć „Roli", podwyższając prenumeratę, nie możemy. Wprawdzie „Rola" jest najtańszem pismem tego rodzaju, a i tak wielu z trudnością przychodzi zapłacić prenumeratę. My, wiążąc ledwo koniec z końcem, na ryzykowne próby puszczać się nie możemy. **Jan Knot** w D.: Cieszy nas bardzo, że Pan tak skutecznie zachęca do czytania „Roli". Obyśmy mieli jak najwięcej takich przyjaciół.

---

# Zagadki do nagrody.

## 1. Logogryf.

(Ułożył Wojciech Lorenc z Ł.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Stopień wojskowy.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej jedność.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Małopolska.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Część świata.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Wódz powstania li-[stopadowego.

Litery w kwadracikach, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko czytelnika, które niemal w każdej „Roli" jest drukowane.

## 2. Szarady.

I.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

Pierwsza druga na wsi służy do jeżdżenia,
Na trzecie zwierz idzie, gdy bez pożywienia,
Czwarte to litera znana w alfabecie,
Całą na swej głowie nosi żołnierz przecie.

II.

Pierwszej szukaj w alfabecie,
Rolnik w polu pierwsze trzecie,
Trzecia druga hodowana,
To jarzyna dobrze znana,
Od całości boli srodze,
Więc puszczajcie myślom wodze,
Drugie czwarte i panowie
I kto mądry ten odpowie.

III.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Pierwszą drugą trzecią toast zaczynają,
Lub gdy czyjeś zasługi uczcić zamierzają,
Siódma z ósmą również warta w zupełności,
By na jej pochwałę użyć też całości.
Od lat już czternastu ona druga trzecia
Uczy, bawi wszystkie stany, chłopa i wa-[szecia.
Nie żałujmy przeto grosza, piątę popierajmy
Przezacnemu pismu sto lat życia dajmy.

## 3. Łamigłówki zoologiczne.

I.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Sum, sztokfisz, szczupak, sardynka, węgorz, płastuga, złota rybka, flądra.

II.

Koszenila, mucha, płoszczyca, pluskwa, zamarnik, nartnik, giez, pchła, komar.

Z powyższych wyrazów wyjąć po jednej literze i tak je ułożyć aby dały nazwę: 1) ryby, 2) owada.

## 4. Zagadka.

(Ułożył J. G. z K).

Który miesiąc jest bez niedzieli?

## 5. Kwadraty magiczne.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| | | | | Szwedzkie imię męskie. |
| | | | | Inaczej kochana, miła. |
| | | | | Biblijne imię. |
| | | | | Jest na morzu. |

W kratki wstawić litery tak, by czytane w kierunku poziomym i pionowym dały znaczenie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 11 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 34 „Roli": 1. Logogryf: Tomasz Zan. 2. Szarady: I. Wędrówka. II. Rycyna. III. Czarodzieje. IV. Salamina. V. Bassara. 3. Kwadraty magiczne: I. Rena-Emil-Alan. II. Atak-tora-lira-halo.

W oznaczonym czasie rozwiązanie nadesłali pp.: Teofil Burman z K., Jan Białek z M., Władysław Szproch z D. G., Michał Syc z W.

Nagrody wylosowali pp.: Michał Syc i Jan Białek.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

### Mądry Icek.

— Mój Icku, mógłbyś sobie tę kapotę oczyścić, jesteś tak brudny, że przylepić się można do ciebie.

— Nu... owszem, ja na to żyję, żeby się do mnie wszystko przylepiało.



### Trochę mniej.

— Piękne rzeczy słyszę o twoim bracie... Podobno okrągłe trzydzieści dni wysiedział w areszcie?

— Przesada! Mój brat siedział okrągło tylko przez cały luty.

### Wątpliwe czy nie.

— Słuchaj, powiadają, że się żenisz?

— E, czy ja głupi, to jeszcze wątpliwe.

— Zapewne niewątpliwe.

— Co, że się żenię?

— Nie, żeś głupi!...

### Giełda płodów rolniczych

z dnia 1 września b. r.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica | 24·00—24·50 | Słoma długa | 6·00—6·56 |
| Żyto . | 23·00—23·50 | Ziemniaki stoł. | 0·00—00·00 |
| Owies . . | 21·50—22·00 | Koniczyna nasienn. czer. | 000·00—000·00 |
| Jęczmień . | 18·00—19·00 | | |
| Fasola biała | 36·00—40·00 | Mąka żytnia | 38·00—38·50 |
| Groch zwyk. | 00·00—00·00 | Mąka pszen. | 46·00—48·00 |
| Siano słodk. | 12·00—13·00 | Otręby pszen. | 14·50—15·00 |
| Łubin żółty | 00·00—00·00 | Otręby żytnie | 14·50—15·00 |
| Koniczpastew. | 14·00—15·00 | Mąka czerw. | 17·00—18·00 |

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

**Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy**

w dniu 1 września b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Buhaje . | od 0·95 do 1·06 zł. | Jałownik | od 0·90 do 1·02 zł. |
| Woły . . | od 1·03 do 1·12 zł. | Cielęta . | od 1·15 do 1·25 zł. |
| Krowy . | od 0·80 do 0·89 zł. | Kozy i barany | 0·00 do 0·00 zł. |
| Nierogaciznę | 1·60 do 1·80 zł. | Nierogaciznę bitej wagi | od 2·20 do 2.35 |

**Za zmianę adresu należy się 40 groszy.**

**Zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.**